

Głos Nauczycielski

ORGAN MINISTERSTWA OŚWIATY
I ZWIĄZKU ZAWODOWEGO NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Nr 3

WARSZAWA, 16 STYCZNIA 1955 R.

CENA 30 GR.

Z okazji X-lecia wyzwolenia Stolicy

Warszawski problem budownictwa szkolnego

WARSZAWA, jak żadne miasto w Polsce, została prawie doszczętnie zniszczona przez wroga, który chciał ją zniszczyć, by już nigdy odrodzić się nie mogło.

W dziesiątą rocznicę wyzwolenia Warszawy widzimy, że bezskuteczne były jego wysiłki. Warszawa żyje, rozwija się i walczy o pokój i socjalizm.

Wiele zmieniło się w naszej Stolicy przez te minione 10 lat. Nie ma ani jednego odcinka jej życia, na którym nie byłoby ogromnego dorobku. Znacząca się na równie i w dziedzinie oświaty.

Ponad 17000 dzieci w wieku 3-7 lat przebywa w przedszkolach. W roku 1945 było ich tylko 6168. Odbudowano, względnie wybudowano 126 budynków przedszkolnych.

W szkołach podstawowych uczy się i wychowuje 44450 dzieci. Wybudowano 34 nowoczesne gmachy szkolne, wiele innych przystosowano do potrzeb szkolnych. W roku 1945 uczyło się w szkołach podstawowych 20160 uczniów, nieraz co drugi dzień, a nawet w mieszkaniach nauczycieli, brak było bowiem izb szkolnych.

15300 młodzieży uczęszcza do szkół ogólnokształcących typu licealnego. Odbudowano na ten cel w pierwszych latach po wyzwoleniu 12 gmachów. Około 40 proc. absolwentów szkół podstawowych zdobywa zawód w szkołach zawodowych.

MDK, domy harcerza, świetlice szkolne i międzyszkolne, ogrody jordanowskie zapewniają znacznej części dzieci i młodzieży godziwą rozrywkę i pogłębienie wiedzy z zakresu kultury i sztuki. Za kilka miesięcy otworzą się również przed młodzieżą podwoje Pałacu Kultury i Nauki im. J. Stalina.

Liczybę te mówią, że Warszawa różnie i na tym polu, że ma poważny dorobek. Dorobek ten zapewnił jej nowy ustrój socjalistyczny, mądra polityka władzy ludowej oraz ofiarna praca społeczeństwa.

W ten sposób zrealizowana została zadania wytyczna Partii — dla wszystkich dostęp do oświaty.

NIE przysyłania nam to jednak istniejących jeszcze braków i trudności, które wciąż nie są przezwyciężone do końca. Wiele przedszkoli jest przepełnionych, niektóre z nich znajdują się w ciężkich warunkach lokalowych, nauka w wielu szkołach podstawowych odbywa się na dwie a nawet na 3 zmiany, brak lokali na świetlice i zajęcia pozalekcyjne, a przedszkola i szkoły, które będą oddane do użytku w 1955 i 1956 roku, nie przyniosą radykalnej poprawy, tym bardziej, że weszliśmy w okres napływu do szkół i przedszkoli roczników bardzo licznych.

Według danych Wydziału Oświaty i MKPiG liczba dzieci w Warszawie, w wieku obowiązku szkolnego, do roku 1960 będzie się kształtowała następująco: 1955 55 — 94400 dzieci, 1956 57 — 103300 dzieci, 1957 58 — 111400 dzieci, 1960 — 146000 dzieci.

Również wysoki będzie przyrost dzieci w wieku przedszkolnym.

Opracowany plan inwestycyjny przewiduje w przybliżeniu budowę: 230 przedszkoli 4-oddziałowych dla 32000 dzieci, przy założeniu, że 50 proc. dzieci w wieku przed-

szkolnym winno korzystać z przedszkoli, 95 szkół podstawowych 15-izbowych dla 57000 dzieci, 10 szkół 11-letnich dla 6000 młodzieży.

Nadto 6 liceów pedagogicznych i 6 szkół specjalnych.

Realizacja takiego programu budowlanego zapewni w 1960 r. naukę na 1,5 zmiany, czyli 60 uczniów na izbę. Nie uwzględnia się tu szkół wieczorowych dla „pracujących”. W najbliższych zatem 5 latach należy budować rocznie 46 przedszkoli, 19 szkół podstawowych, 2 szkoły 11-letnie.

Z powyższego widać, że Warszawa na progu drugiego dziesięciolecia stoi przed wielkim zadaniem realizowania obszernego programu budownictwa szkolnego. Zmusza to do przeanalizowania dotychczasowych doświadczeń.

PRZEDY wszystkim kilka słów o standardzie budowlanym. Obowiązujące obecnie standardy budowlane dla przedszkoli i szkół podstawowych opracowało Ministerstwo Oświaty w okresie małych jeszcze doświadczeń na tym polu i pod kątem jak najdalej idących oszczędności finansowych, nie zawsze słusznie pojętych.

Opracowanie projektu szkolnego w ramach takiego standardu jest dla projektanta i władz oświatowych łagodziwka, lepiej lub gorzej rozwiązywaną, co powoduje, że projektant wprowadza nieraz fantazyjne pomysły, które, gdy są zrealizowane, stają się uciążliwe dla młodzieży i nauczycieli. Przykładem może tu być budynek szkolny przy ul. Iwickiej, w którym wybudowano podziemny korytarz łączący dwa skrzydła szkoły. Korytarz ten jest wilgotny. Siwarza on również dla nauczycieli wiele trudności przy dyżurach podczas pauz. W innych budynkach są karkołomne zejścia do sal gimnastycznych, np. w szkole im. Gottwalda.

W Warszawie stosuje się z reguły program budowlany szkół 15-izbowej. A oto kilka przykładów niewłaściwości tego programu.

Ażby nauka chemii czy fizyki mogła być prowadzona systemem pracowniowym, stoły laboratoryjne w sali fizyko-chemicznej winny posiadać instalację gazową i elektryczną. Tymczasem, normatyw tego nie przewiduje, jak nie przewiduje również wody bieżącej w sali, wentylacji ciągowej oraz digestorium z wyciągiem gazów spalinyowych. Normatyw zatem jest dostosowany do warunków szkół wiejskich, pozbawionych gazu, elektryczności, wodociągu itp. Obchodzenie tych i innych przepisów przez Wydział Oświaty nie zawsze się udaje.

Walcymy o coraz wyższą kulturę fizyczną i GKKF wymaga, ażeby sala gimnastyczna miała 242 m kwadr. powierzchni (22x11), ponieważ na mniejszej nie można przeprowadzać wielu przepisanych programów ćwiczeń. Budujemy jednak sale o powierzchni 162 m kwadr. (18x9). Ze względu na koedukację i dzielenie na grupy już od kl. V potrzebna jest druga sala gimnastyczna o powierzchni 100 m kwadr. Argument, że można użyć świetlicy jako zastępczej sali gimnastycznej, jest nie do przyjęcia. Przeciwnie, słuszny jest postulat rozbudowy świetlicy do kilku oddzielnych pomieszczeń świetlicowych o powierzchni 250 m kwadr. Obecna świetlica o powierzchni 100 m kwadr. nie spełnia swego zadania.

Pokój do majsterkowania w zespole pomieszczeń do zajęć pozalekcyjnych (37,5 m

kwadr.) nie może zastąpić sali na prace ręczne. Jest to sprawa ważna ze względu na politęchnizację i taką izbę w standardzie należy przewidzieć.

Calkowicie nie zdaje egzaminu szatnia typu teatralnego, wymagająca licznej obsługi, jak również nie można się pogodzić z zawężaniem korytarzy w praktyce często do 2,4 m.

Reasumując, musimy dopracować się oszczędnego standardu budownictwa szkolnego nie rezygnując z maksymalnej wygody pomieszczeń dostosowanych do niezbędnych funkcji życia szkoły.

Wysunąć przeto należy postulat, ażeby jak najszybciej przystąpić do rewizji standardu budowlanego szkoły podstawowej, jak również i przedszkola, chociaż w przedszkolu mniej jest braków i niedopatrzeń. Przy rewizji standardu szkoły 15-izbowej należy przedyskutować problem auli ze scenką teatralną z wielu względów bardzo potrzebnej szkole.

Osobno jeszcze o szkołach jedenastoletnich. Jak dotąd nie buduje się w Warszawie szkół tego typu. Wszystkie powstające rozwijają się jako jedenastoletnie lokując się w budynkach szkół podstawowych jeszcze dotkliwiej odczuwając ciasnotę lokalową. Sytuacja ich jest niezmienne ciężka i utrudnia realizację programu nauczania i wychowania. Lokowanie szkół rozwojowych w budynkach szkół podstawowych ma jeszcze i tę złą stronę, że pozbawia szkoły podstawowe izb dla nich przeznaczonych, co powoduje nadmierne zagęszczenie w szkołach sąsiednich.

Są jeszcze i inne przyczyny, drugorzędne, które sprawiają, że nowe budynki szkolne niezupełnie odpowiadają potrzebom życia. Jedną z nich jest niedoskonałość projektów, które powstają często w oderwaniu od rzeczywistych użytkowników, bez zasięgania ich rady i opinii. Stąd też piękne szkoły, jak przy ul. Nowolipie, Smoczej, w praktycznym użyciu są niewygodne, ze względu chociażby na to, że wielki hall w środku budynku działa jak pudło rezonansowe, a poręcz na dachu stwarzająca stałą, groźną możliwość nieszcześliwego wypadku. Przypominając się tu słowa N. S. Chruszczowa, który mówił: „...wielu projektantów chce projektować tylko budynki o indywidualnym charakterze, by jak najszybciej wnieść sobie pomniki”.

WYKONANIE olbrzymiego programu budownictwa szkolnego w najbliższych latach wymaga zapewnienia nie tylko środków finansowych i możliwości wykonawczych, ale również zabezpieczenia sprawnego działania poszczególnych ogniw aparatu inwestycyjnego.

Głównym inwestorem poważnej liczby tych budowli będzie Wydział Oświaty Prezydium Rady Narodowej. Służba inwestycyjna Wydziału Oświaty musi opracować plan budownictwa, lokalizację, przeprowadzić badania geodezyjne, wykonać założenia projektów, sprawować nadzór nad wykonaniem dokumentacji, jej obiegiem, kontrolować przebieg robót na budowach, nadzorować budowy zorkowskie. Wiele jeszcze innych prac musi wykonać służba inwestycyjna Wydziału Oświaty, tymczasem jest ona niezdolna do wykonania tych zadań tak ze względu na jej liczebność, jak i nieprzepracowanie fachowe. Istnieje więc konieczność jej reorganizacji i wzmocnienia. Powołanie do życia Zarządu Inwestycyjnego dla budownictwa szkolnego w składzie około 30 osób rozwiązałoby to zagadnienie.

Przygotowanie dokumentacji trwa jak dotąd niezmiernie długo. Paradozem jest, że samo sporządzenie projektu trwa od 3-4 miesięcy, a zatwierdzenie około 5 miesięcy. Uproszczenie tej procedury, skrócenie terminów uzgodnień i przekonanie projektantów o konieczności stosowania projektów powtarzalnych jest koniecznością. Kilka takich projektów budynków szkolnych, po przedyskutowaniu ich z użytkownikami i z uwzględnieniem ich uwag, nim ukażą się nowe standardy, można by powtórzyć w najbliższej przyszłości. Należy wybrać ograniczoną ilość typowych projektów... szkół... i prowadzić masowe budownictwo wyłącznie według tych projektów...powiedzieć w ciągu 5 lat! — mówi N. S. Chruszczow. Niestety, projekty dotychczasowe nowowbudowanych szkół warszawskich nie są typowe, nie nadają się więc jako projekty do powtarzania. Brakowi temu trzeba by zaradzić.

Równocześnie z opracowywaniem rysunków technicznych winny być przygotowywane rysunki instalacyjne, urządzenie te-

renu, ogrodzenia, kosztorysy budowlane. Dotąd tak nie jest. Utworzenie przez biura projektów pracowni wielobranżowych bardzo by tu pomogło.

Do niedawna jeszcze budowa niektórych szkół przeciągała się do 3 lat. Dopiero zarządzenia Ministra Oświaty i Ministra Budownictwa Miast i Osiedli nakazujące terminowe oddawanie budynków szkolnych do użytku poprawiło znacznie sytuację, ale jej jeszcze nie uzdrowiło.

Rytmiczna praca przedsiębiorstw i zjednoczeń na budowach, dostarczenie na czas dokumentacji, priorytet budownictwa szkolnego, uchronienieby wykonawców przed stosowaniem „szturmowszczyzny” w ostatnich miesiącach budowy szkół, „Szturmowszczyzna” powoduje, że budynki oddaje się z wielu zaniedbaniami i niedoróbkami, które bardzo utrudniają i komplikują życie szkół.

WARSZAWSKI problem budownictwa szkolnego jest problemem nie tylko warszawskim. Trzeba budować szkoły, przedszkola. Będziemy je budowali. Wychowają nam one obywateli, którzy tak jak my, będą walczyli o pokój, o coraz lepsze życie człowieka pracy, o radosne dzieciństwo najmłodszych obywateli.

WŁADYSŁAW NITKA

Kierownik Wydz. Oświaty Prez. St. RN

PRZED II ZJAZDEM ZMP

Wydział Oświaty a Zarząd Powiatowy

OTRZYMAŁIŚMY szereg listów z wydziałów oświaty Prez. PRN i z wydziałów szkolno-harcerskich ZP ZMP, w których autorzy omawiają zagadnienia współpracy tych wydziałów. Zarząd Powiatowy ZMP w Świeciu (woj. bydgoskie) pisze:

„...o dwóch list, pomimo, że nie jest tak daleko do Wydziału Oświaty do naszego Zarządu, nikt nie był z kierownictwa Wydziału Oświaty, by zainteresować się chociażby tym, jak jest prowadzona dokumentacja drużyn i ile ich jest, jak przesyłają ZP ocenę prac młodych nauczycieli, a szczególnie przewodników. Wydział Oświaty zawsze daje te same odpowiedzi, że ma wiele pracy itd.”

„Nie chodzi nam — czytamy dalej w liście — by Wydział Oświaty robił za nas robotę, ale, by pomógł nam budować autorytet organizacji wśród nauczycielstwa, by stał się o to, aby młodzi nauczyciele nie stonali od organizacji zetemopwskiej, jak to jest obecnie. Kierownik Wydziału Oświaty absolutnie nie zwraca na to uwagi ani przy wyjazdach do szkół, ani na odprawach.”

Nie tylko listy, ale i bezpośrednie rozmowy w terenie potwierdzają fakt, że chociaż niedaleko jest od wydziału oświaty do zarządu powiatowego ZMP, to jednak mogłoby się mierz wydawać, że odległość ta jest niemal astronomiczna. Tow. Stanisława Stopkwa, kierownik Wydziału Szkolno-harcerskiego w ZP ZMP w Nowym Targu, oświadczyła nam, że w okresie jej działalności ani Prezydium ZP ZMP nie nawiązywało z Wydziałem Oświaty żadnych kontaktów, ani też Wydział Oświaty nie szukał okazji, by wspólnie przedyskutować sprawy, jakie leżą w polu działania obydwu instytucji. Dopiero dość niedawno przed kilkunastu dniami doszło do wspólnej narady Prezydium ZP ZMP i Wydziału Oświaty na temat pracy organizacji harcerskiej w terenie i sposobów kierowania nią przez ZP ZMP.

Oczywiście, wspólne posiedzenia prezydium ZP ZMP i pracowników wydziału oświaty nie mogą być częste. Formy kontaktów tych instytucji muszą na codzień zredukować się do łączności podinspektora szkolnego opiekującego się harcerstwem z kierownikiem wydziału szkolno-harcerskiego. Łączność ta musi być za to bezpośrednia i stała. Tow. Mieczysław Elias, kierownik Wydziału Szkolno-harcerskiego ZP ZMP w Miliczu, tak pisze: „Uważam, że kierownik Wydziału Szkolno-harcerskiego ZP ZMP ma pół biurka w Zarządzie Powiatowym ZMP, a drugie pół biurka — w Wydziale Oświaty Prez. PRN”.

Jest to oczywiście przenośnia. Wyrażenie „pół biurka w zarządzie powiatowym ZMP i pół biurka w wydziale oświaty” powinno jednak stać się hasłem dla wszystkich kierowników wydziałów szkolno-harcerskich. Ta sama zasada winna obowiązywać także podinspektora szkolnego, który sprawuje opiekę nad harcerstwem. Powinien on pamiętać, że częsty jego pobyt w zarządzie powiatowym ZMP pozwoli na lepszą opiekę i pomoc drużynom harcerskim w szkołach.

Ważniejszą sprawą niż forma i częstotliwość kontaktów wydziałów oświaty z wydziałami szkolno-harcerskimi jest sprawa treści omawianych wspólnie zagadnień. Mogłoby się stwierdzić, że treści tych kontaktów ogranicza się często do stosunkowo wąskiego kręgu problemów. Uzgadnia się więc teksty okólników wysyłanych do szkół, przeniesienia młodych nauczycieli, kierowania ich na kursy, miarowania przewodników drużyn harcerskich, przyznawanie nagród przewodnikom itp., a więc sprawy organizacyjne i personalne. Natomiast wymiana zdań na temat samej pracy w drużynach harcerskich, dzielenie się spostrzeżeniami o do dobrych form i metod pracy (w celu ich upowszechnienia), co do przewidywania trudności wychowawczych, z jakimi borykają się drużyny, jest raczej rzadkością. O takie wspólne zebrania, na których można by omawiać problematykę wychowawczą, szukać najlepszych dróg trafiania do mło-

W gościnie u Prezesa Rady Ministrów



W dniu 9 stycznia br. Prezes Rady Ministrów — tow. Józef Cyrankiewicz gościł w salach Urzędu Rady Ministrów 400 harcerzy — przewodników nauki przybyłych do Warszawy ze wszystkich stron kraju. W uroczystości choinkowej uczestniczyli również: Wiceprezes Rady Ministrów — tow. Jakub Berman, Przewodniczący CRZZ — tow. Wiktor Kłosiewicz, Minister Oświaty — tow. Witold Jarosiński i inni. Zabarawę uroczystości występy zespołów dziecięcych: Międzyszkolnego Chóru Chłopców z Poznania, Zespołu Tanecznego Dzieci Warszawy, a także artystów scen warszawskich.

Pozdrowienie noworoczne od nauczycieli radzieckich

Polska — Do Przewodniczącego ZG ZZNP, tow. Macha

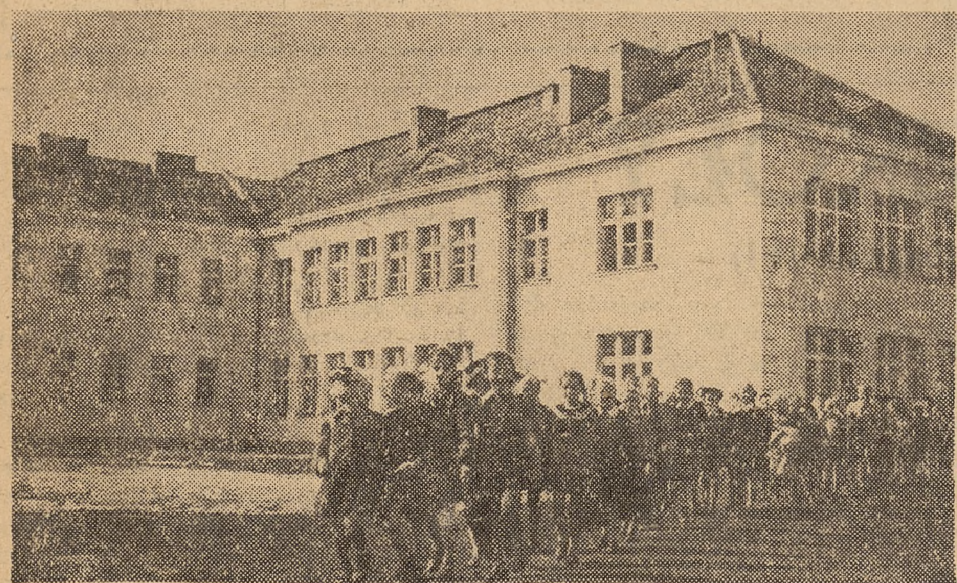
Drogi Towarzyszu!

W imieniu nauczycieli Związku Radzieckiego przesyłamy nasze serdeczne pozdrowienia i życzenia nauczycielom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z okazji Nowego Roku. Szczerze życzymy wszystkim polskim nauczycielom osiągnięcia w roku 1955 nowych sukcesów w budowie socjalizmu w Polsce, w dziedzinie komunistycznego wychowania młodzieży. Mam nadzieję, że w Nowym Roku nauczyciele wszystkich krajów jeszcze bardziej zjednoczą swe wysiłki w walce o trwały pokój na całym świecie, w obronie swych życiowych interesów i demokratycznych zasad wychowania.

Z przyjacielskimi pozdrowieniami

(—) IWAN GRIWKOW

Przewodniczący CK ZZ Nauczycieli RFSRR



Szkola na Śluzewcu

O statucie ZMP

JESZCZE przed paru laty większość nauczycieli naszego Liceum Pedagogicznego nie chciała brać udziału w zebraniach zetemopwskich nie widząc tam wyraznej roli dla siebie. Wiele się od czasu zmieniło. Dziś nauczyciele nasi czują się odpowiedzialni za dobrą pracę koł w swoich klasach. Pozostała jednak wśród niektórych pewna niechęć do ZMP, a raczej może nieśmiałość wypływająca z niedostatecznej znajomości spraw organizacji młodzieżowej. Zdziwiliśmy się sobie sprawę ze „sztywności” zebrani koł ZMP, ze słabością wypowiedzi uczniów. Aktywność zetemopwskich sił się, by zebrać, były jak najbardziej poważne, zdawało się, że nie wolno uczestnikom uśmiechnąć się, ani zażartować. Oddało to wielu dobrych uczniów niezorganizowanych a nawet i członków ZMP od tzw. aktywnu obnoszącego się z powagą godną bogów Olimpu. Nie umiemy jednak temu zaradzić.

Dlatego z radością przeczytaliśmy III rozdział projektu nowego statutu ZMP, w którym wiele uwagi poświęca się zadaniom i formom pracy koł zetemopwskich. Będzie to dla nas, nauczycieli, nieoceniona pomoc. Projekt nowego statutu wyraźnie określa zadania szkolnych i zakładowych

koł ZMP, kładąc kres wszelkim nieporozumieniom istniejącym dotychczas na tym tle. Projekt ten również wyraźnie mówi o formach pracy koł, kładąc szczególny nacisk na atrakcyjność zajęć. Jest to słuszne, gdyż tylko atrakcyjna forma pracy rozwijać może zainteresowania młodzieży podnieść autorytet koła, jego popularność wśród niezorganizowanych i będzie miała wychowawczy wpływ na młodzież.

Bardzo ważny jest dla mnie m. in. p. 1. rozdz. określający, kto może być członkiem ZMP. Dotychczas panowało przesądzenie, że wśród nauczycieli, jak i wśród aktywnu zetemopwskiego, że członkiem ZMP może być tylko uczeń czy uczennica mający bardzo dobre lub dobre wyniki w nauce. Często był to decydujący warunek przy przyjmowaniu do ZMP. Nie też dziwnego, że na zebraniach otwartym w kl. I b. naszego liceum jedna z uczennic zapytała przewodniczącą koła: „A co w takim razie mają zrobić moi zdolni koleżanki posiadające tylko dostateczne wyniki w nauce?” Przewodnicząca jednak nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Projekt nowego statutu kładzie kres i tym nieporozumieniom.

Budzi we mnie wątpliwość 19 punkt

statutu określający ilość członków tworzących koło ZMP. Mam tu na myśli młodych nauczycieli-zetemopwów. Jak się orientuje, niewiele mamy takich szkół, w których byłoby 7 młodych nauczycieli — członków ZMP. Najczęściej spotykana liczba to 3, 4, 5. W myśl statutu winni oni należeć do terenowego koła ZMP. Praktyka jednak wykazała, że koła te nie zdają egzaminu. Nauczyciele-zetemopwscy należący do koł terenowych odrzucali się od zagadnień nurtujących szkołę, a jednocześnie często ztracali poczucie więzi z organizacją zetemopwską, gdyż koła terenowe były mało żywotne.

Moim zdaniem, należałoby rozwiązać to zagadnienie albo za pomocą oddzielnego zarządzenia Zarz. Głównego ZMP, albo też przez wprowadzenie poprawki do projektu statutu, poprawki mówiącej o tym, że wszędzie, gdzie pracuje lub uczy się przynajmniej 3-7 zetemopwów — tworzą oni koło ZMP. Przyczyniłoby się to do podniesienia pracy nauczycielskich koł ZMP, które, jak dotychczas, nie spełniały pokładanych w nich nadziei.

TADEUSZ WŁODARSKI

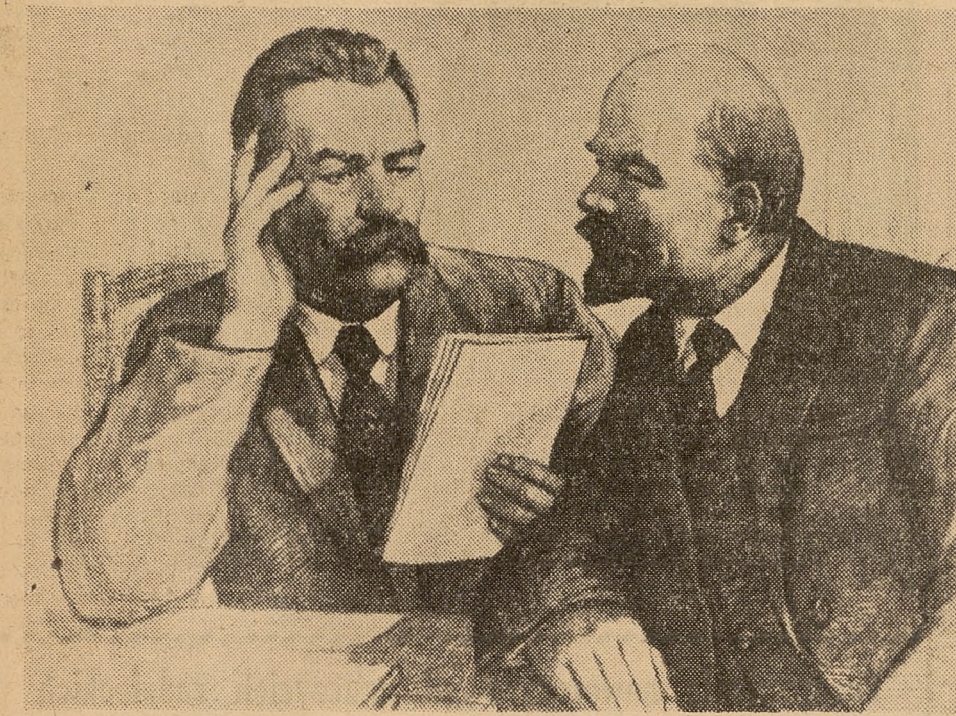
Warszawa

Największą kością niezgody pomiędzy

JAN SZUREK

Na rocznicę śmierci Lenina

Takim Go widział Gorki...



UMARŁ Włodzimierz Lenin. Nawet niektórzy z obozu jego wrogów uczciwie przyznają, że w osobie Lenina świat utracił człowieka, który ze wszystkich współczesnych mu ludzi był najbardziej plastycznym uosobieniem genialności.

Trudno jest odmalować jego portret. Lenin na pozór cały jest w słowach, jak ryba w łusce. Był prosty i bezpośredni, jak wszystko, co mówił.

Bohaterstwo jego prawie zupełnie zabawione było zewnętrznej byskotliwością — było ono nierazkim w Rosji skromnym, ascetycznym poświęceniem uczciwego rosyjskiego inteligenta-rewo-

lucjonisty, niezłomnie przeciwdziałającego, co można jest na świecie sprawiedliwie społeczną, był to heroizm człowieka, który wyrzekł się wszystkich radości świata gwoli ciężkiej pracy dla szczęścia ludzi.

... To, co napisałem wkrótce po jego śmierci — pisane było w stanie przygnębienia, pośpiesznie i źle.

Powinienem być zacząć od Zjazdu Londyńskiego.

Aż do tego roku nie widziałem Lenina, a także nie czytałem go tak wiele, jakby należało. Ale to, co udało mi się przeczytać z jego pism, głównie zaś pel-

ne zachwytu opowiadania towarzyszy, którzy znali go osobiście, pociągnęło mnie do niego z wielką siłą. Kiedy zapoznałem nas ze sobą, Lenin mocno ścisnąwszy mi rękę i mierzając mnie błyszczącymi oczami, zagadnął żartobliwie, tonem starego znajomego.

— Dobrze, żeście przyjechali. Lubicie wszak starca? Będziecie tu świadkiem gorącego starcia.

Spodziewałem się, że Lenin jest zupełnie inny. Czegoś mi w nim brakowało. Wymawiał gardłowo i rece wsuwał gdzieś pod pachy. W ogóle cały był zanadto prosty, nie czuło się w nim nic z „wodza”. Jestem literatem... Zawód mój zmusza mnie do spostrzegania drobnotek, ten obowiązek przeszedł w przyzwyczajenie, czasem aż dokuczliwe.

Kiedy mnie „zaprowadzono” do Plechanowa, stał on, skrzyżowawszy ręce na piersiach, patrząc surowo, ze znużeniem, jak patrzy zmęczony swymi obowiązkami nauczyciel na jeszcze jednego ucznia. Powiedział mi zupełnie banalne zdanie: „Jestem wielbicielem waszego talentu”.

A ten łysy, wymawiający gardłowo „r”, krepki, silny człowiek, pocierając jedną ręką sokułowskie czoło, szarpnąc drugą swoją ręką, przyjaźnie błyskając zadziwiająco żywymi, czarnymi oczami, od razu zaczął mówić o brakach mojej książki „Matka”. Okazało się, że przeczytał ją w rekopisie, który wziął od Ładysławki. Powiedziałem, że śpieszyłem się z napisaniem tej książki, ale nie zdążyłem dodać, czemu się śpieszyłem. Lenin potwierdzając, kiwnął głową i sam to objaśnił: bardzo dobrze, że się śpieszyłem, książka ta jest potrzebna, wielu robotników brało udział w ruchu rewolucyjnym nie świadomie, lecz żywiołowo, a teraz, przeczytając „Matkę” z wielkim dla siebie pożytkiem.

PRZYJEZDZALI wtedy z Rosji różni przypadkowi rewolucjonści zlaniani, wystraszeni, źli na samych siebie i na ludzi, którzy wciągnęli ich w to „beznadziejne przedsięwzięcie”.

— Wszystkie przepało — mówili. — Wszystko zostało rozbita, zniszczone, zezłane lub wtrącone do więzienia!

... Lecz oto na mównicę wszedł Włodzimierz Iłjicz, wymawiając we właściwy sobie sposób „r”, powiedział: „Towarzysze! Wydało mi się, że mówię źle. Ale już po chwili tak samo jak wszyscy inni „pochłonięty” byłem jego przemówieniem. Po raz pierwszy oto słyszę, że o najbardziej skomplikowanych zagadnieniach polityki można mówić w sposób tak prosty. Lenin nie próbował układać pięknych frazesów, lecz każde słowo, padał jak na dłoń, ujawniając z zadziwiającą łatwością jego właściwy sens. Bardzo trudno oddać niezwykle wrażenie, jakie wywarł.

Jego ręka wyciągnięta naprzód i podniesiona nieco do góry dłoń, która jakby ważyła każde słowo, odrzucając frazesy przeciwników, zastępując je ważkimi twierdzeniami, udowadniającymi prawo i obowiązek klasy robotniczej kroczenia własną drogą, nie zaś w ognie burżuazji liberalnej i nawet nie obok niej — wszystko to brzmiało niepospolicie i było przezeń wypowiedziane tak, jak gdyby mówił nie w swoim imieniu, lecz rzeczywiste z woli historii. Wewnętrzna spójność, precyzność myśli, wyrazistość i siła jego mowy, całego jego postać na trybunie — to jak gdyby dzieło sztuki klasycznej; jest wszystko i nie ma nic zbitecznego, żadnych zwrotów krasomówczych, a jeżeli nawet były, to nikt ich nie spostrzegł, stanowiący bowiem coś tak naturalnego jak dwoje oczu w twarzy, pięć palców u ręki.

Jeśli chodzi o czas — mówił krócej niż inni mówcy, którzy występowali przed nim, jeśli zaś o wrażenie — znacznie dłużej; odczułem to nie tylko ja, za mną towarzysze szepotali pełni zachwytu: — Mocno gada.

ZEGNAJĄC się ze mną w Londynie powiedział, że stanowczo przyjedzie na Capri odpocząć. Zanim jednak wybrał się na Capri, zobaczyłem się z nim w Paryżu, w mieszkaniu studenckim składającym się z dwóch pokoiów — studenckim jedynie pod względem wielkości, ale nie pod względem czystości i porządku. Nadzieja Konstantynowa, przygotowywawszy nam herbatę, odeszła dokądś i pozostaliśmy sami.

Wstał, właściwym sobie gestem wsunął palce za kamizelkę pod pachami i zaczął wolno chodzić tam i z powrotem po ciastym pokoiu, mrużąc oczy, to znówu błyskając nimi.

... Podchodząc do mnie powiedział jakby ze zdumieniem, z dużą siłą, ale niegłośno.

— Nie, pomyślcie tylko: w imię czego syć pchać głodnych na rzeź, jednym przeciw drugiemu? Czy znacie przestępstwo bardziej idiotyczne i ohydne? Robotnicy zapłacą za to straszne drogo, ale koniec końców — to oni wygra. Taką jest wola historii.

Często mówił o historii, nigdy jednak w jego słowach nie wyczuwałem bałwochwalczego korzenia się przed jej wolą i potęgą.

Rozmowa podnieciła go; przysiadł się do stołu, otarł spoczone czoło, lknął herbaty i nagle spytał:

— Cóż to za skandal mieliście w Ameryce? Wiem z gazet, o co chodzi, ale jak to się stało?

Opowiedziałem mu pokrótce o moich przygotowaniach.

Nigdy nie spotkałem człowieka, który by umiał śmiać się tak zaraźliwie, jak śmiał się Włodzimierz Iłjicz. Było to nawet dziwne, że tak surowy realista, człowiek, który tak dobrze widzi i głęboko czuje nieuchronność wielkich społecznych tragedii, nieprzebiegany, niezachwiany w swojej nienawiści do świata kapitalizmu, może śmiać się całkiem jak dziecko, do łez zanosząc się od śmiechu. Wielkie, krzepkie zdrowie psychiczne mieć trzeba, żeby móc tak się śmiać.

— Och, ale z was humorysta — mówił ze śmiechem. — Ani przypuszczałem. Diabło śmieszne.

... I odcierając łzy śmiechu, poważnie już, z dobrym, miłym uśmiechem powiedział:

— To dobrze, że potraficie traktować niepowodzenie z humorem. Humor to wspaniała, zdrowa cecha. Doskonale wyznaje się na humorze, ale nie wiadomą tą sztuką. A rzeczy śmiesznych jest w życiu bodaj że nie mniej niż ponurych, naprawdę, nie mniej.

Zachwycała mnie jego niezwykła wola życia i aktywna nienawiść do wszystkiego, co w życiu nikczemne, podziwiałem jego młodzieńczy zapał, jaki wkładał we wszystko, co robił. Zdumiewała mnie jego nadludzka zdolność pracy. Jego ruchy były lekkie i zgrabne; skapa, lecz silna gestykulacja harmonizowała całkowicie ze stylem jego mowy, skąpym w słowa, bogatym w myśl. W jego twarzy o mongolskich rysach płoń, grały przenikliwe oczy niezmordowanego bojownika przeciwko kłamstwu i niedoli życia, płoń mrużąc się, uśmiechając się ironicznie, palając gniewem.

Błask tych oczu dodawał jego słowom jeszcze większego ognia i wyrazistości.

Zdawało się niekiedy, że z oczu jego bucha snopem isker nieposkromiona energia jego ducha, a propozycje nia słowa skrzęta się w powietrzu. Jego przemówienia zawsze wywoływały fizyczne uczucie nieodpartej prawdy.

Włodzimierz Lenin — wielki, prawdziwy człowiek tego świata — umarł. Ta śmierć bardzo boleśnie uderzyła w serca ludzi, którzy go znali — bardzo boleśnie.

... Ale czarna kresa śmierci podkreśliła tylko w oczach całego świata, bardziej wyraziście jeszcze, znaczenie Lenina — wodza ludu pracującego na całym świecie.

I choćby chmura nienawiści do niego, chmura kłamstwa i oszczerstwa wokół imienia jego była jeszcze bardziej gęsta — wszystko jedno: nie ma takiej siły, która by mogła przyćmić blask pochodni wniesionej przez Lenina w mgiłstwie pomroce obłąkanego świata.

I nie było człowieka, który by tak jak ten, prawdziwie zasłużył sobie na wieczną pamięć świata.

kaniu studenckim składającym się z dwóch pokoiów — studenckim jedynie pod względem wielkości, ale nie pod względem czystości i porządku. Nadzieja Konstantynowa, przygotowywawszy nam herbatę, odeszła dokądś i pozostaliśmy sami.

Wstał, właściwym sobie gestem wsunął palce za kamizelkę pod pachami i zaczął wolno chodzić tam i z powrotem po ciastym pokoiu, mrużąc oczy, to znówu błyskając nimi.

... Podchodząc do mnie powiedział jakby ze zdumieniem, z dużą siłą, ale niegłośno.

— Nie, pomyślcie tylko: w imię czego syć pchać głodnych na rzeź, jednym przeciw drugiemu? Czy znacie przestępstwo bardziej idiotyczne i ohydne? Robotnicy zapłacą za to straszne drogo, ale koniec końców — to oni wygra. Taką jest wola historii.

Często mówił o historii, nigdy jednak w jego słowach nie wyczuwałem bałwochwalczego korzenia się przed jej wolą i potęgą.

Rozmowa podnieciła go; przysiadł się do stołu, otarł spoczone czoło, lknął herbaty i nagle spytał:

— Cóż to za skandal mieliście w Ameryce? Wiem z gazet, o co chodzi, ale jak to się stało?

Opowiedziałem mu pokrótce o moich przygotowaniach.

Nigdy nie spotkałem człowieka, który by umiał śmiać się tak zaraźliwie, jak śmiał się Włodzimierz Iłjicz. Było to nawet dziwne, że tak surowy realista, człowiek, który tak dobrze widzi i głęboko czuje nieuchronność wielkich społecznych tragedii, nieprzebiegany, niezachwiany w swojej nienawiści do świata kapitalizmu, może śmiać się całkiem jak dziecko, do łez zanosząc się od śmiechu. Wielkie, krzepkie zdrowie psychiczne mieć trzeba, żeby móc tak się śmiać.

— Och, ale z was humorysta — mówił ze śmiechem. — Ani przypuszczałem. Diabło śmieszne.

... I odcierając łzy śmiechu, poważnie już, z dobrym, miłym uśmiechem powiedział:

— To dobrze, że potraficie traktować niepowodzenie z humorem. Humor to wspaniała, zdrowa cecha. Doskonale wyznaje się na humorze, ale nie wiadomą tą sztuką. A rzeczy śmiesznych jest w życiu bodaj że nie mniej niż ponurych, naprawdę, nie mniej.

Zachwycała mnie jego niezwykła wola życia i aktywna nienawiść do wszystkiego, co w życiu nikczemne, podziwiałem jego młodzieńczy zapał, jaki wkładał we wszystko, co robił. Zdumiewała mnie jego nadludzka zdolność pracy. Jego ruchy były lekkie i zgrabne; skapa, lecz silna gestykulacja harmonizowała całkowicie ze stylem jego mowy, skąpym w słowa, bogatym w myśl. W jego twarzy o mongolskich rysach płoń, grały przenikliwe oczy niezmordowanego bojownika przeciwko kłamstwu i niedoli życia, płoń mrużąc się, uśmiechając się ironicznie, palając gniewem.

Błask tych oczu dodawał jego słowom jeszcze większego ognia i wyrazistości.

Zdawało się niekiedy, że z oczu jego bucha snopem isker nieposkromiona energia jego ducha, a propozycje nia słowa skrzęta się w powietrzu. Jego przemówienia zawsze wywoływały fizyczne uczucie nieodpartej prawdy.

Włodzimierz Lenin — wielki, prawdziwy człowiek tego świata — umarł. Ta śmierć bardzo boleśnie uderzyła w serca ludzi, którzy go znali — bardzo boleśnie.

... Ale czarna kresa śmierci podkreśliła tylko w oczach całego świata, bardziej wyraziście jeszcze, znaczenie Lenina — wodza ludu pracującego na całym świecie.

I choćby chmura nienawiści do niego, chmura kłamstwa i oszczerstwa wokół imienia jego była jeszcze bardziej gęsta — wszystko jedno: nie ma takiej siły, która by mogła przyćmić blask pochodni wniesionej przez Lenina w mgiłstwie pomroce obłąkanego świata.

I nie było człowieka, który by tak jak ten, prawdziwie zasłużył sobie na wieczną pamięć świata.

(M. Gorki: „O Leninie” — fragmenty)

U komsomolców w Gorkach Leninowskich

Aleksandra Fiedorowna Tokarewa, nowa nauczycielka szkoły średniej we wsi Gorki Leninowskie, stała przed gazetką ścienną czytając artykuły, z których poznawała życie szkoły.

Zadzwonił dzwonek. Z klas z hałasem wybiegli uczniowie, ale zobaczywszy nieznaną uczelnię, z ciekawością spoglądając w jej stronę. Gazetka ścienna wisiała stosunkowo dawno i wszyscy uczniowie ją czytali, lecz teraz zebrał się koło niej tłum. „Spryciarze — pomyślała młoda nauczycielka — chcieliby nawiazać rozmowę, zapytać, kim jestem, ale nie mają pretekstu”.

— Nudna wasza gazetka, dzieci — rozpoczęła rozmowę Aleksandra Fiedorowna.

— O, zaraz nudna — powiedział obrażonym tonem stojący obok wysoki uczeń. — Nudnawia, trzeba otwarcie przyznać — wtrąciła się do rozmowy nadchodząca nauczycielka, Maria Siergiejewna Wołkowa.

W tej chwili rozległ się dzwonek i uczniowie rozbiegli się do klas.

— Poznajmy się — powiedziała Maria Siergiejewna do Tokarewej. — Uczę... w młodziejszych klasach i jestem sekretarzem organizacji partyjnej. A wy jesteście nową nauczycielką geografii? Bardzo dobrze, że jesteście młoda i komsomolka. Pomoczenie uporządkować pracę w uczniowskiej komsomolskiej organizacji. Bo nasi komsomolcy żyją jakoś w odosobnieniu. Słusznie zauważyliście, że i gazetka nasza jest nie najlepsza.

Tak rozpoczęło się szkolne życie Aleksandry Fiedorowny Tokarewej. W Instytucie lubiła ona pracę komsomolską. Oczywiście, że i w szkole młoda wykładowczyni nie mogła być obojętna wobec spraw swoich uczniów komsomolców.

Już od pierwszych dni udało się jej użyć właściwie współzycie z uczniami: nie nakazywać, nie komenderować, a pouczać i pomagać jako bardziej doświadczony towarzysze.

Komsomolcy na sprawozdawczo - wyborczym zebraniu wysunęli kandydaturę Aleksandry Fiedorowny do komitetu WLKZM i wybrali ją na sekretarza.

W zarządzie organizacji komsomolskiej młoda nauczycielka postawiła sobie zasadniczy cel: zespolic uczących się w jeden zwarty kolektyw. Zrobić to można było tylko w toku wspólnych prac, które zainteresowałyby wszystkich uczniów. Taką pierwszą pracą stała się pomoc kołchozowi. Komsomolcy pracowali na polach zgodnie i z zapałem.

Podsumowując potem pierwsze wyniki mówili razem i o przyszłych zadaniach. A zadań było dużo: praca na działce szkolnej, uporządkowanie otoczenia szkoły, walka o czystość i porządek.

Aleksandra Fiedorowna dążyła do rozwoju inicjatyw w każdej klasowej organizacji komsomolskiej, poznawała życie, skłonności indywidualne i zainteresowania młodzieży. Kiedyś zauważyła, że do klasy VIIIb często przychodzi najmłodszy uczeń. Okazało się, że niektórzy komsomolcy przynoszą dla nich książki, obrazki, wykonują proste pomoce naukowe. Aleksandra Fiedorowna zaproponowała ośmioletniemu, by objął opiekę nad klasą trzecią. Obecnie starsi uczniowie systematycznie pomagają młodszym: chodzą z nimi na spacer, pomagają w lekcjach, przygotowują do wystąpienia o pionierskiej organizacji. W ten sposób zainteresowania poszczególnych komsomolców właściwie zorganizowane stały się sprawą całej klasy.

Koleżństwo i solidarność uczniów przejawiają się przede wszystkim we wzajemnej pomocy, która szeroko rozwinęła się w szkole. Pewnego razu np., do ucznia kl. VII b, Eugeniusza Truszkina, który otrzymał dwójkę z algebry, zbliżyli się koledy i zaoferowali swą pomoc.

— Obejdę się bez was — odpowiedział i wyszedł z klasy.

Po pewnym czasie otrzymał on drugą złą ocenę, ale pomocy koleżeńskich znów nie przyjął. Aleksandra Fiedorowna poprosiła ucznia klasy IX, Borysa Łaptiewa, by porozmawiał z Truszkinem. Po lekcjach chłopcy wyszli razem.

— Wiesz, Eugeniusz — powiedział Borys — nie jestem zbyt mocny z matematyki, ale mogę ci pomóc, będziemy razem się uczyć.

Upłynął pewien czas, w dzienniku klasowym obok nazwiska Truszkina pojawiły się dobre stopnie.

Na wzór Łaptiewa inni uczniowie klasy IXb zaczęli pracować wspólnie z siódmoklasistami. Obecnie wszyscy starsi uczniowie pomagają młodszemu kolegom. Komsomolcy pomagają sobie wzajemnie. Uczniowie IX klasy, Saszy Borunowowi, z trudnością przychodzili niektóre przedmioty. Zaczęła mu pomagać Lila Jesipowa. Teraz wszyscy komsomolcy radzą sobie z nauką. Wielu z nich uczy się dobrze, niektórzy — bardzo dobrze. Komsomolcy organizują wycieczki, które nie tylko pogłębiają wiadomości zdobyte na lekcjach, ale i zespolicają cały szkolny kolektyw.

Uczniowie wspólnie spędzają wolny czas: jeżdżą do teatru, chodzą do kina, organizują ciekawe sobotnie „wieczory rozrywkowe”. Te wieczory weszły już w tradycję.

Pewnego razu uczniowie X kl. weszli dyskusję na temat przyszłego zawodu: kim zostać, w jaki sposób zdobyć zawód? Pogadali byli różne. Aleksandra Fiedorowna zaproponowała, aby zaprosić do szkoły ludzi o różnych specjalnościach i porozmawiać z nimi o tym, jak oni zdobyli swój zawód. Propozycja została przyjęta. Na wieczorze pod nazwą „Kim będę” w szkole występowali mechanicy, robotnicy, kolchoźnicy. Ich wypowiedzi zmusiły wielu uczniów starszych klas do rewizji ich planów na przyszłość.

Wielkim uznaniem wśród komsomolców cieszy się sport. W szkole istnieją sekcje: gimnastyczna, siatkówki, koszykówki, narciarska i łyżwiarska. Miłośnicy sportu przygotowali na rzecze Pachrze ślizgawkę, zradiofonizowali ją i założyli elektryczne oświetlenie.

Komsomolcy mają wiele ciekawych spraw. Inicjatorem tych spraw jest komitet komsomotu z nauczycielką Aleksandrą Fiedorowną na czele.

W. KULICZENKO

Był mroźny dzień styczniowy. Nad Warszawą umilkły już strzały, przestały rwać się szrapnele i bomby. Uciekli z wrogi huk walących się murów, toteż ci, którzy przed kilku miesiącami wyrzuceni zostali z własnych mieszkań brutalną dłońią hitlerowskiego najeźdźcy, wracali pośpiesznie do swej umiłowanej stolicy dzwignijac na plecach resztki ocalałego mienia. W ich liczbie wracali i ja.

Długi sznur utrudzonych pielgrzymów ciągnął ożarowską szosą rozprzającą o tym, że wreszcie wraca się „do domu”. Szliśmy dziarskim krokiem, a gdy już przed oczyma zamajęczały mury Warszawy, tłum ruszył na przelaj przez pola i nie bacząc na grożące minowe niebezpieczeństwo, każdy rwał co prędzej do „domowych pieleszy”.

Po chwili spostrzegłam, że jestem sama i że idę też przez pola między ulicą Wolską i Górczewską. A oto już ulica Moczydło i Balicka ze swymi maleńkimi parterowymi domkami, a oto pierwsze spotkanie z małą uczennicą Jasią i jej okrzyk: „O, pani wraca, to będzie szkoła”. Jakże żywo i prosto dziś stają mi w pamięci te słowa będące wtedy największym bodźcem i zachętą do wyjątkowej pracy. A więc te dzielne warszawskie dzieciaki przeżywszy tyle udręk i bólu, patrząc często na okrutny mord i krew najbliższych, nie zalałamy się i pragną szkoły. Z poczuciem wielkiej dumy popatrzyłam na małą dziewczynkę i bez wahania rzekłam: „Tak, Janeczko na pewno będzie szkoła, zgłoś się jutro do zapisu”. I poszłam dalej.

Gdy doszłam do umiłowanej szkoły przy ulicy Gostyńskiej 9, okazało się, że jednak przeceniłam możliwości: przed moimi oczyma stał zniszczony doszczętnie budynek, a z każdej sali wypalonymi oczodolami wзираł okrutny gniew na tych, którzy dokonali potwornego dzieła.

Staliśmy jak skamieniała. Dokoła zalegała pustka, cisza, martwość, nigdzie śladu ludzkiego życia. Serce bilo mi mocno, oddech stawał się coraz szybszy, oczy wilgotniały od gorzkiej, ciężkiej łez. Rozdźwięki moine postanowienie, że właśnie tu, na miejscu krzywdy i bezprawia musi powstać natychmiast szkoła, a w niej wychowywać się mają nowi ludzie, dla których największym ukochem będzie twórcza, pokojowa praca.

Z zadumy wyrwał mnie jakiś głos wychodzący z piwnicy wypalonego mieszkalczego domu stojącego obok szkoły. Podeszłam bliżej i za chwilę ujrzałam kolegę Orłowskiego, naszego palacza — wyprzeżył mnie o kilkanaście godzin, zdążył już zainstalować się w piwnicy, a teraz wyszedł na moje spotkanie i zwykłym swym beztroskim głosem rzekł: — Dzień dobry, ale ja jestem pierwszy.

Było mi trochę przykro, że to nie ja zdobyłam palmę pierwszeństwa, ale jednocześnie ucieszyłam się, że nie jestem już sama i że nie tylko ja tak bardzo śpieszyłam do szkoły. Więc przyznałam słusność koledze: — Cieszę się, że już jesteście. Razem będziemy uruchamiali szkołę.

Po krótkiej przyjacielskiej rozmowie i ogrzaniu się poszłam do szkoły. Obeszłam wszystkie pomieszczenia. Ogień nie przebił mrocznych klejnowskich sklepów, więc można się było swobodnie poruszać po całym, wypalonym gmachu szkolnym. Zaszłam wreszcie do suterenu, tu ocalały dwie szatnie, kuchnia, stołówka i kąpielisko: nie wypaliła się lastryka podłoga i drzwi były całe, tylko w oknach brakowało szyb.

POWRÓT DO SZKOŁY

(Ze wspomnień warszawskiej nauczycielki)

Rozszalałam się dokoła, a w tej chwili w uszach zabrzmiały mi wyraźnie słowa: „O, pani wraca, to będzie szkoła”. „Tak — pomyślałam — tu w tych niewypalonych izbach będzie szkoła” i natychmiast zabrałam się do pracy. A praca to była nielatawa — trzeba było wyrzucić częściowo opadły tynk, oszklić okna i zdobyć jakikolwiek sprzęt szkolny.

Jeszcze i dziś z kol. Orłowskim wspominałyśmy nieraz te czasy, kiedy wyjmowaliśmy zabytki z pojedynczych okien ocalałych w różnych pomieszczeniach i wstawialiśmy do okien zastępczych obecnych klas. Żmudna to była praca: kit mocno trzymał, a za narzędzia służyły tylko ręce i złamany nóż, toteż nieraz, gdy się już kończyło robotę, szyba pękła i trzeba było szukać nowej, od początku zaczynać wyjmowanie, choć nie było się pewnym, czy i ta szyba w ostatniej chwili nie pęknie. Ale jakoś się zrobiło wszystko. Po tygodniu okna już były oszkłone.

W tych dniach odwiedziłam także domny — prowadziłam zapisy dzieci do szkoły. Raz, pamiętam, przyszedł do częściowo wypalonego domu nr 67 przy ulicy Płockiej. Na podwórzu spotkałam 12-letniego ucznia, Romka M. Dowiedziałem się od niego, że mają w izbie stoł, o czym mówił z taką dumą, udałam się do ich mieszkania, by tam przeprowadzić zapisy. Rodzice przyjęli mnie gościnnie. Tymczasem Romek biegał od mieszkania do mieszkania po prowizorycznych schodach zwanych „sztangami” i zwoływał dzieci do zapisu. Tego dnia liczba zapisanych do różnych klas przekroczyła 57.

Wszystko szło nienajgorzej, tylko największy kłopot sprawiał mi brak sprzętu.

Ale oto, pewnego razu, zapisując dzieci w domu przy ul. Górczewskiej 25 do wiedziałam się, że w podziemiach kościoła przy ul. Wolskiej Niemcy zrobili schron i z braku innych urządzeń do siedzenia przewieźli tam pewną ilość ławek szkolnych, które ocalały. Przybiegłam z tą radośną wieścią do kierownika, który już codziennie przychodził do szkoły z podwarszawskiej miejscowości. Natychmiast poszłam na wskazane miejsce, wiadomość okazała się prawdziwa. Z przewiezieniem ławek nie było żadnego kłopotu, zrobili to nasi dzielni żołnierze, którzy kwatrowali w pomieszczeniach obok kościoła.

I tak oto w drugiej połowie lutego przy liczbie 83 uczniów kl. I—VII rozpoczęła się nauka w pięciu prowizorycznych izbach szkolnych ogrzewanych żelaznymi piecykami, gorąco bijącymi serduszkami, działawymi, kochanej, robotniczej Woli i przeogromnym umiłowaniem zawodu przez nauczycieli. A było nas już pięciu nauczycieli. Mnie przypadał kl. V.

Liczba dzieci rosła z każdym dniem, a równocześnie rósł zapał do pracy. Dzieci uczyły się dobrze. Warunki, w jakich mieszcila się szkoła, nie tłumyły w nich zapału do pracy, przeciwnie, trudności zagrzewały do coraz większych wysiłków. Pozostał mi z tych czasów w pamięci fragment wierszyka ułożonego przez jedną z moich uczennic. Przytaczam go, bo wiernie oddwarza atmosferę klasy:

„Warszawskie dzieci wszystko znoszą. Myśmy niczego nie lękamy. Wierzymy w jasne, piękne jutro, Wierzymy, że go doczekamy.

Wkrótce doczekały się wytrwałe dzieci lepszych warunków. Wyremontowany został i przystosowany do wymagań szkolny budynek mieszkalny i tymczasowo przeniesiono do niego szkołę. Ciasno tu było, izby lekcyjne zmieściły mogły najwyżej po 30 uczniów, a liczebność klas mocno tę liczbę przekraczała. Niemniej jednak dzieci były zachwycone i mówiły w domu: „Mamo, i podłoga jest, i piec, i okna duże”.

Warunki stopniowo ulegały poprawie, aż wreszcie w grudniu 1949 roku został ukończony remont wypalonego budynku i szkoła nasza znalazła się w wygodnym pomieszczeniu. Piękne, widne, czyste, słoneczne klasy (12), obszerne korytarze, wspaniała biblioteka i sala gimnastyczna, pracownia i izby pomocnicze, duże szatnie, kuchnia, stołówka, oto warunki, w jakich uczy się obecnie 650 dzieci naszej szkoły, a o tamtych „piecykowych” czasach słuchają jak smutnej bajki.

W ciągu dziesięciolecia ukończyło naszą szkołę ponad 500 uczniów, którzy dziś na różnych stanowiskach pracują dla kraju: jedni pełnią odpowiedzialną pracę w Zakładach im. Kasprzaka, inni są lekarzami, nauczycielami, lub pracując w innych zawodach czy uczą się w szkołach średnich i wyższych.

Czasem przyjdzie do naszej szkoły dawny wychowanek i stojąc w szatni lub w stołówce opowiada młodszemu kolegom: „W 1945 i 1946 roku tu była klasa, siedziałem tam, przy oknie”. Otacza go wtedy gromadka szkolnej młodzieży i dziwi się, że tu mogła się mieścić klasa, bo jakże inaczej wygląda teraz ich sala.

I my, nauczyciele (a jest nas czterdziestu), otwieramy oczy młodzieży na to, co było, co jest i mówi o pięknej przyszłości.

K. KOŁAKOWSKA
Szkoła Podstawowa nr 125 w Warszawie

Dalsze wypowiedzi o rodzicach i szkole

Powód częstych zadrażeń

Zabieram głos jako ojciec dwóch uczniów pragnąc podzielić się swoimi uwagami z tymi, którzy sprawują opiekę nad naszymi dziećmi. Chociaż nie jestem pedagogiem, stale i żywo interesuję się zagadnieniami szkolnymi. Wypowiedź swą opieram na materiale uzyskanym w wyniku rozmów z uczniami różnych szkół i ich rodzicami.

Przyczyną rozdrzewień między rodzicami i szkołą często bywa sprawa ocen wystawianych w szkole naszym dzieciom. Często zdarza się, oczywiście, że rodzice nie mają racji, jednak liczne są także wypadki, kiedy sposób i „polityka” stawiania ocen musi budzić i budzi poważne zastrzeżenia wśród rodziców. To, czego my, rodzice, domagamy się od oceny, sprowadza się do tego: ocena musi zawsze odzwierciedlać rzetelny obraz wiedzy i pracy ucznia. Nie zawsze tak bywa. Oto przykłady z własnych obserwacji:

1) Uczeń A, pilny i zdolny, wbrew oczekiwaniom, otrzymuje notę dostateczną z języka polskiego na I okres. Uczeń i rodzice uważają się za pokrzywdzonych, pytają, dlaczego tak się stało. Odpowiedź nauczycielki brzmi: to go zmobilizuje do jeszcze lepszej pracy. Skutek wręcz przeciwny — niezchęcenie do pracy i podważenie obiektywności ocen.

2) Uczeń B, zdolny, pilny i pracowity — ale ruchliwy jak żywe srebro, czasami przeszkadza na lekcji. Zamiast obniżyć mu stopień ze sprawowania, nauczyciel „odkuwa się” na stopniu z przedmiotu. Wyraźny

Dyskutujemy o harcerstwie

Uważam, że najważniejsza jest treść ideologiczna

SADZĄC z dotychczasowego toku dyskusji na temat pracy harcerskiej chodzi w niej nie tyle o rejestrowanie błędów życia harcerskiego, ile o remedia na znane wszystkim niedomogi dziecięcej organizacji. Jest w tym dużo słuszności. Każdy, kto choćby na krótko zetknął się z harcerstwem, dostrzegł jego kulawie chody, zadziwił się, że jest aż tak niedobre. Któż bowiem z pedagogów czy sympatyków młodzieży nie natrafił na drużynę, która śpi, na drużynę, która się nudzi, na drużynę, która wygłasza od czasu do czasu referat polityczny, który nie widzi harcerzy kopających wyłącznie piasek i w tym kopaniu upatrujących sens swego bytu, któż wreszcie nie widział szkół, w których w ogóle harcerzy nie ma?

Trafialiśmy do szkół, gdzie drużyny były „świetne”. Tak informował nas przewodnik. Rzeczywiście wrzała praca. Jak złom, to złom. Jak butelki, to butelki. Jak konkursy czytelnicze, to konkursy. Zrazu byliśmy oszołomieni. Dobry duch krytycyzmu podseptymał nam jednak wątpliwości. Czym żyje ta drużyna między złomem a butelkami, między butelkami a konkursem? I co daje ten złom, te butelki i ten konkurs? I często zdarzało się, że trafialiśmy na zwykłą aktywność, która bynajmniej nie wychowuje człowieka, a tylko wprowadza go w stałą manię gorączkowego ciucia, niezdrówie rywalizacji, łamiącej prawa koleżeństwa i solidarności.

Trafialiśmy do szkół, gdzie w drużynie — jak w szkole — harcerze odrabiają lekcje, wzbogacają swoje metodyczne wiadomości w zakresie sztuki uczenia się różnych przedmiotów, dyskutują, czy wpięty uczyć się przedmiotów ustnych czy piśmiennych i w ten sposób o parę godzin przedłużają sobie dzień szkolny.

Trafialiśmy do drużyn w wioskach tak odległych od centrum, że nowym polskiego życia dotarło tam wyłącznie przez reformę rolną i zmianę władz. Wiesz jednak w jakim tylko stopniu doświadczyła skutków Planu Szczęśliwego czy przewartościowania kulturalnego. Głównym bodźcem była tu prasa. I może właśnie dzięki temu, że był jedynie, bodziec ten stał się tak silny. Harcerze, czytając z przewodnikiem — nauczycielem gazetę czy pismo, przejęli się do głębi oznakami wzrostu życia w naszym kraju, przeżyli każdy fakt uruchomienia nowego pieca martenowskiego, zapory wodnej, zakładu pracy, jako coś niespotykane wielkiego i romantycznego. Pod wpływem tych przeżyć, uczuć, myśli powstały postawienia — przyspieszył proces wzrostu naszej wsi! I harcerze stali się niejednokrotnie przyczyną rzychlejszej socjalizacji życia w swojej okolicy, bądź to organizując pomoc z zewnątrz, bądź wykonując pewne prace we własnym zakresie, jak naprawa dróg, budowa sali gimnastycznej, boiska sportowego itp. Było i jest wiele dowodów wielkiej ofiarności harcerzy, ich pięknej postawy wobec życia. Czy jednak to wszystko nie było obciążeniem ich dzieciństwa ponad miarę i ponad siły? Czy jednak to wszystko nie jest złuczeniem odpowiedzialności z czynników miarodajnych na dziecko? Oto są wątpliwości.

Trafialiśmy do drużyn, gdzie dusza ich był utalentowany przewodnik. Prace drużyny naznaczone były jego silną indywidualnością, często jego upodobaniami, czasem naturalnie przyswajającymi przez dzieci, czasem narzuconymi. Trafialiśmy również do drużyn, gdzie prze-

wodnik był wyraźnie znudzony pracą z dziećmi i „odwalał” robotę. Najgorzej było tam, gdzie przewodnik był mało utalentowany, mało wykształcony, ale bardzo uparty. Wtedy drużyna jego jeździła pod presją poprawności i codzienności sztywnej a lukrowanej.

Trafialiśmy wreszcie do szkół, gdzie drużyna doskonale się bawiła. Wymyślne zabawy — zwiady, podchody, zawody sportowe, gry świetlicowe, czarodziej-skie sztuki. Nuda na zawsze wypędzona. Atrakcyjność zapewniona. Cała drużyna sili się na wymyślanie atrakcji. Wesoło, przyjemnie. Ale jakoś w tym wszystkim nie udało nam się dopatrzeć organizacji dziecięcej, której na imię harcerstwo. Itd itd.

COż za wnioski płyną z tego wszystkiego? Zerwać z aktywnością, sięgnąć do atrakcyjnych form pracy, doszukać dawnych przewodników, poważnie, głębiej kształcić nowych, nie odkomenderowywać ludzi par force do nieubliżalnej roboty? Można by tu jeszcze do niekończących się przykładów i wniosków, ale nie wydaje mi się, żeby to rzeczywiście mogło spowodować zwrot w harcerskim życiu i przemoc impas, raczej uzdrowiłoby się to czy ową drużynę, niż wywarło wpływ na całokształt zagadnienia.

Nie wiem, może się okazać, że jestem w błędzie, wtedy tocząca się dyskusja będzie miała możliwość wyprowadzić mnie z tego błędu, mam jednak głębokie przekonanie, że niedomogi harcerstwa są skutkiem słabości ideologicznej jego podstat, słabości, która pogłębia się w miarę czasu.

Zacznijmy od pierwszej sprawy, z którą zetknęliśmy się harcerz — od prawa harcerskiego. Mówi się o nim od lat, że jest nudne, że jego forma nie wyraża słusznego treści. Ostatnio słyszy się, że nie ma się go co czytać, że „spełnia rolę w terenie”. Ale z tym się zgodzić nie można, trudno uspokajać sumienie odrywając się raz w raz sprzeciwem. Prawo jest nie-dobre, prawo jest nawet bardzo niedobre, skoro czytający je niezdolny jest do porwy, by się do niego stosować, by się nim przejąć do głębi i uznać je za rację swojego życia. Obserwowałam kiedyś grupę dzieci zapoznających się z prawem harcerskim. Nie zrobiło ono na nich najmniejszego wrażenia, mimo że chwila w życiu dzieci była podniesiona i sprzyjała silnym uczuciom. Nie ma w tym prawie patosu patriotycznego, choć mówi o miłości ojczyzny, nie ma wizji bogactwa życia, choć mówi o przyrodzie. Jest natomiast zacięty upór nianki, która na siłę pcha dziecko do ust przetręta papkę. Nie wolno wobec tego twierdzić, że prawo ma tylko złą formę, a słuszną treść, trzeba mówić, że prawo jest źle napisane, że prawo jest niedobre. A niedobre prawo to błąd ideologiczny.

E. Jackiewiczowa pisała w swoim artykule („Głos Nauczycielski” nr 47) o sile obrzędowości, której ulegają dzieci. Miała na myśli chyba nie tylko urok samego obrzędu, ale i działanie tradycji, możliwość nawiązywania do nich, wzbogacającą treść harcerskiego życia. Nie kłóć się o obrzędowość, jakkolwiek doceniam ją, spierać się natomiast będę o oderwanie ideologii harcerstwa od tradycji. Czas wyciągnąć z zapomnienia polskich pionierów, rzesze dzieci związane z KZM, współdziałające ze starszą młodzieżą w walce, wskazać bohaterstwo pionierów na konkretnych faktach, na konkretnych

Wanda Żółkiewska

literat

przykładach. Czas pokazać harcerzom KZM-owców, ale nie w krótkich, suchych życiorysach, naszpikowanych sloganem, ale w literackim ujęciu, mogącym, wzruszyć głęboko, na zawsze przywiązać do postaci bohatera. Literatura nasza jest pod tym względem niezmiernie uboga, a czynnik miarodajny, jak wydawnictwa i Wydział Historii Partii, za mało inspirują tego typu publikacje. Czas dać harcerzom wzory młodych bohaterów drużyn, których życiem można by porwać i wzbudzić chęć naśladowania. Ważne jest, żeby młodym młode przyświecały przykłady.

MŁODE harcerstwo polskie liczy już sobie kilka lat. Jest rzeczą charakterystyczną, że to, czym ono obrasta, nie jest ani obfite, ani na miarę naszych czasów. Rozwój harcerstwa jest raczej trudny i raczej szary. Nie można zamykać oczu na ogólne trudności naszego życia, z którymi powyższy fakt jest związany, jak choćby drobniomieszczańskie upodobania dużej części naszego społeczeństwa. Dziecko niejednokrotnie jest rozdarte ideowo między dom a szkołę, między dom a organizację, a wskutek tego do pewnego stopnia skrupowane, nie daje z siebie wszystkiego, co jest w nim najlepsze, ale mamy do czynienia również z jeszcze innym złem — z brakiem twórczego promieniowania indywidualności dziecięcej na organizację.

Znając dzieci, zdajemy sobie sprawę, jak bogate są te indywidualności, jak różnorodne. Wystarczy zaobserwować swobodną zabawę dzieci czy niekontrolowaną ich rozmowę, żeby zebrać sporą dozę wniosków na ten temat. W organizacji dziecięcej to się nie ujawnia lub ujawnia się tak nagle, że nie odgrywa większej roli. To właśnie wydaje mi się sygnałem ostrzegawczym, to najbardziej niepokoi. Bo to znaczy, że coś szwankuje w podstawach ideologicznych harcerstwa. Jest w tych podstawach jakieś uszczywienie, narzucające dzieciom pracę i obowiązki, a nie wyzwajające z nich twórczości i wyobraźni. Dzieci nie kierują swoją organizacją w sensie rozwijania nowych jej form, nie czynią jej coraz przydatniejszą do swojego wieku, do swojego życia, coraz bogatszą i bujniejszą. Najczęściej my, dorośli, wymyślamy dzieciom formy pracy i dzieci je z wielkimi lub mniejszym entuzjazmem podejmują, brak natomiast zbiorowej ich inicjatywy.

Zdarzyło mi się raz, że rodzice, oboje partyjni, zwrócili się do mnie z prośbą o wysondowanie ich bardzo zresztą wybitnego dziecka, dlaczego nie chce należeć do harcerstwa. Chłopiec mówił o tych sprawach raczej niechętnie i właściwie jako jedyny motyw podawał: „Bo ja nie mam siły tak się nudzić”. Można było poprzestać na tej wypowiedzi — po prostu nudno widocznie jest na zbiórkach i chłopak, przekonawszy się o tym, ma dość. Ale to nie o to chodziło. Zastęp w klasie chłopca był podobny wprawdzie do wielu innych, ale nie najgorszy. Chłopak natomiast był wyjątkowo inteligentny, o umyśle dociekliwym, twórczym, o wielkiej ciekawości świata i ludzi. Przy tym miły i towarzyski. A co najważniejsze, zainteresowany życiem kraju i świata, życiem partii w szczególności. Zdałoby się, że to ideal dla organizacji, że jego wpływ i działanie na organizację może być najszcześliwsze i najpomyślniejsze. Tymczasem wcale tak nie było. W sztywnych ramach organizacji zabrakło miejsca dla jego twórczej indywidualności, jemu zaś brakowało zapasu, siły i wytrwałości do podejmowania akcji, którymi żył jego zastęp, ciasno mu było w powtarzających się treściach i formach pracy.

Wydało mi się, że lekceważenie większych i mniejszych indywidualności dziecięcych w zespole, że sztywność ideologicznych ram harcerstwa gasi bujność jego rozwoju. Podobnie jak gasi ją wprowadzanie abstrakcyjnych treści politycznych, obcych dziełom z powodu choćby tylko ich skłonności psychologicznych i umysłowych, które są ograniczone.

ISTNIEJE przecież sprawa, wokół której można by skupiać dzieci i naturalnie wyzwalać z nich najlepsze odruchy. Sprawa, która by nam pomogła w likwidacji najcięższych chorób społecznych, która by nam pozwalała docierać do największego patriotyzmu i przywiązania do socjalizmu, sprawa, która by z naszych dzieci robiła ludzi — to sprawa kształcenia charakteru. — Alboż ta sprawa harcerstwo się nie zajmuje? — mógłby ktoś zapytać. Owszem, zajmuje się, ale nie tak i nie w tym stopniu i nie na tym planie, jak powinno. Cechy charakteru wlekuje się tu przede wszystkim na zalety ucznia i to dominuje w pracy harcerskiej.

A zagadnienie jest przecież o wiele rozleglejsze i bardziej romantyczne, a tym samym i bardziej pociągające. Siła woli, odwaga, bohaterstwo, poczucie odpowiedzialności, bezkompromisowość — to są przecież cechy, którymi młodzież się zachwyci, dla których kocha wiel-

kich bohaterów. I to są cechy, które dają podstawę wszystkiemu dobremu w dziecku — dobrej nauce również.

Przypomnijmy sobie własne dzieciństwo, sięgnijmy do naszych marzeń, wspomnijmy nasze wyobrażenia o sobie jakże górne i piękne, choć nie zawsze pokrywające się z rzeczywistością. Dając dziecku cel patriotyczny jego wysiłków, zróbmy harcerstwo kuźnią charakterów różnorodnych, bogatych. Wtedy harcerzowi, częściej niż obecnie, wypadnie sięgnąć po dobrą książkę, po dzieło ludzkiej sztuki, po przykład ludzkiej pracy, po historię czyjegoś bohaterstwa i znaleźć w tym wszystkim swoje własne miejsce.

Mam obawy, że przygoda i atrakcyjność — konik, którego tak często i tak chętnie ostatnio dosiada się, grozi swoją podchwytliwością. Łatwo będzie mu ulec degeneracji w terenie trudnym, gdzie się czeka na gotowe recepty, gdzie brak sił intelektualnych do zgłębienia zagadnienia, tym bardziej, że, jak dotąd, nie zostało ono dostatecznie jasno sprecyzowane w dyskusji. Wyjaśnienie tych spraw do końca, określenie ich miejsca, zakresu jest rzeczą ważną dla ludzi, którzy z „nowo wiejącą wiatru” będą chcieli wysnuć wnioski praktyczne dla pracy harcerskiej.

Kol. Koźniowski myli się chyba jednak upatrując największej diury w literaturze przygodowej (nr 50 „Głosu Naucz.”). Publikacje „Naszej Księgarni”, „Iskier”, „Czytelni” mogą temu łatwo zaprzeczyć zarejestrowawszy się wspólnie. W tej dziedzinie nigdy nie będzie najgorzej, bo sprawę ratują klasyki. Jest ona również najchętniej uprawiana przez pisarzy współczesnych i to najlepszych. Słabo może narastają w niej nowe treści, ale też mocniej i lepiej niż gdzie indziej. Kampania wydawnictwa na korzyść literatury przygodowej datuje się już co najmniej od dwu lat i rozwija się wcale ładnie — świadczą o tym nowe książki i wznowienia. To natomiast, co wymaga wiele większego trudu, a co jest równie lub bardziej niż przygoda potrzebne, to bohaterska literatura dziecięca współczesna i historyczna. Ogromne wychowawcze znaczenie, mimo licznych błędów, miały miesięczne opowiadania „Serce” Amicisa. Zapisywały się w pamięci dzieci na zawsze. Niemal było ich oddziaływanie w kierunku pogłębiania się uczuć dziecka, jego charakterologicznego wzrostu. Nasze dzieci muszą zobaczyć siebie samych w historii i współczesności jako bohaterów — inaczej nie uwierzą, że udziałem ich życia są rzeczy wielkie.

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

Spóźniony kleks noworoczny



— Dokąd jedziesz?
— Podobno jest ktoś
z „Głosu”...
— Poczekam. Za sześć lat
trafią do naszej wsi...

Redakcja załatwiła sprawę...

— Zanimiem im „taki” artykuł...
— I tak nie wydrukują, piszą sami swoi!

— Skąd tyle makulatury?
— Zebrałem w szkole nieczytane „Głosy”!

(Nadesłał kol. T. Majewski z Białejowic)

Ponownie przedkładamy Ministerstwu

Echa „kwintetu“

Samorządnie zorganizował się „kwintet o konspektach i planowaniu” („Głos Nauczycielski” Nr 48/49) i zagrał, nieharmonijnie — to prawda — ale rezonans był szeroki i do kwintetu z każdym dniem przybywało nowych instrumentów tak, że dziś możemy już mówić o orkiestrze. Spośród wielu listów i wypowiedzi, jakie napłynęły w tej sprawie do naszej redakcji, zatrzymamy się głównie nad tymi, które do sprawy konspektów i planowania ustosunkowały się najbardziej krytycznie, ale równocześnie rzeczowo. Oto kol. Janina Stanek z Kielc pisze:

„Uczę już 34 lata. Mając tyloletnie doświadczenie, nie mogłabym jednak nie przygotowywać się do lekcji, bo w swej praktyce po kilka razy uczyłam różnych przedmiotów i w różnych klasach. Bez przygotowania nie idę na lekcję. Przygotowanie to jest różne — zależnie od czasu i potrzeby. Bezwzględnie np. muszę zorientować się, jaki temat przypada mi na dzień następny (w powiązaniu z już przerobionym tematem). A konspekty? Czegoś tak lekcyjnego nie piszę, lecz tylko pewne punkty, które pomagają mi rozplanować lekcję w czasie tak, aby pozostało go dość na zadanie pracy domowej, jak również na jej omówienie i wytłumaczenie dziecku”.

Z wypowiedzi kol. Janiny Stanek widzi się, że kładzie ona ślony akcent na przygotowanie się do lekcji, a nie na fakt pisanie konspektu. U niej proces przygotowywania się do lekcji obejmuje rozmyślanie nad dozą materiału rzeczowego, jaki ma podać uczniom na konkretnej lekcji, polega na uświadomieniu sobie celu i metody, przy pomocy których zmierzać będzie do osiągnięcia obmyślonych zamierzeń, jest przeglądaniem materiałów pomocniczych (pismek, książek, podręczników). Wynikiem tego procesu myślowego i czynności technicznych (przeglądanie materiałów pomocniczych) może być — ale nie musi — konspekt, który autorka wypowiedzi kształtuje „zależnie od czasu i potrzeby”.

Podobnie wypowiada się w tej sprawie kol. Julia Kowalska z powiatu Drawsko w woj. koszalińskim, twierdząc, że nadmiar pisanego przemęcza nauczycieli, powodując niedomagania z powodu przepracowania.

Inna nasza korespondentka, kol. Wanda Kucharska z Kosowa k. Skawiny, tak pisze:

„W wymienionym artykule („Kwintetu o konspektach i planowaniu”) wynika, że są nauczyciele, którzy odczuwają potrzebę pisanie konspektów, a są i tacy, którzy tę czynność uważają za balast. Jest to sprawa osobistego podejścia do konieczności przygotowania się do lekcji. Jedni wolą przygotowanie to pisać, drudzy — zwi-

szcza starsi praktycy — nie odczuwają tej potrzeby.

Mnie się zdaje, że konieczność przygotowania się nauczyciela do lekcji nie podlega dyskusji, zaś sprawę pisanie konspektów można by rozstrzygnąć w ten sposób, że będą do tego zobowiązani tylko początkujący nauczyciele.

Ale nikogo nie zwolnilabym od obowiązku doskonalenia się w swoim zawodzie. Nauczyciel musi nie tylko przygotować się do każdej lekcji, lecz także do tego, co i to nie tylko prasę fachową. Musi uzupełniać swoją wiedzę w każdym kierunku, aby się nie cofać. Dowcip o nauczycielce, która podniosła styl swej pracy dzięki temu, że nie pisała konspektów, miała czas na czytanie książek i pism fachowych, nie jest pozbawiony słuszności, bo pisanie konspektów jako formalne spełnienie obowiązku — nie da oczywiście żadnych rezultatów, natomiast duże odczytanie bezwzględnie pogłębi wiedzę nauczyciela i pozwoli dobrze przygotować się do lekcji oraz dobrze, ciekawie i pozytywnie ją przeprowadzić. Dobre lekcje zaś — to dobre wyniki nauczania i wychowania”.

Również zdaniem kol. J. P. z Wrocławskiego, konspekt sam w sobie nie jest bardzo często dowodem dobrego przygotowania się nauczyciela do lekcji, tak samo, jak nieposiadanie konspektu nie świadczy o tym, że nauczyciel nie jest do niej przygotowany. Bardzo liczne fakty obserwacyjne w codziennym życiu szkolnym dowodzą tego ponad wszelką wątpliwość.

„Zdarzyło mi się widzieć nauczycieli, którzy nie mają konspektu prowadzić lekcję — powiedziałabym — „koncertowo”, jak również widziałam i takich, którzy mieli konspekt — nawet zupełnie niezły i pięknie wykaligrafowany — ale ich lekcje w niczym nie dowodziły, że są oni do lekcji przygotowani. Moim zdaniem, o tym, czy nauczyciel jest do lekcji przygotowany świadczy jej przebieg i ogólne wyniki z prowadzonego przez niego przedmiotu, a nie ilość i jakość napisanych konspektów. Uważam zatem, że obowiązkiem pisanym konspektów powinien spoczywać na adeptach sztuki pedagogicznej, a więc na tych koleżankach, którzy rozpoczynają dopiero pracę w zawodzie. Powinni oni pisać konspekt np. przez pierwsze 3 lata pracy (tak, jak obowiązują nacz. pracy), przy czym koleżdy z większym doświadczeniem i praktyką zawodową mieliby obowiązek pomagać tym kolegom, uczyć ich po prostu, jak należy przygotowywać się do lekcji, jak to przygotowanie utrwalić na piśmie w formie konspektu, ale takiego konspektu, który byłby wynikiem wszechstronnego omówienia i przewidzenia wszystkiego, co mo-

że i co powinno mieć miejsce w realizacji zaplanowanej i przygotowanej lekcji”.

I znów wiele „głosów terenu” brzmi zupełnie podobnie jak wypowiedź kol. J. P. „Konspekty, cel poznawczy, wychowawczy... Czyż nie wystarczy, jeśli naszkicuje się tok lekcji, wskaże pomoce naukowe, jakich na lekcji użyjemy i co zadamy uczniom jako pracę domową?” — mówi kol. Wanda C. z Łódzkiego. — Jestem zdania, że tylko rozpoczynający praktykę powinni pisać konspekty, ale też nie według ustalonych rubryk i szablonów, bo wtedy są to „urzędowe kawałki”, które się robi, bo „muszą być”, bo „władza zażąda i co wtedy?” — jak mówią niektórzy kierownicy, uważając takie stanowisko za niezbyt dowód, że konspekty „czy kto chce, czy nie chce” — pisać trzeba. Zgodzę się z tym, że nawet nauczyciel doświadczony będzie obowiązany pisać szczegółowe konspekty wtedy tylko, kiedy, gdy obejmie nowy przedmiot, którego długi czas nie uczył, lub nową klasę, w której jeszcze nigdy nie uczył albo uczył dawno. Ale i w tym wypadku nie należy krepować inicjatyw i pomysłowości nauczyciela sztywnymi „rubrykami i schematami”, bo gdzie wtedy będzie twórczy wysiłek nauczyciela, gdzie jego osobisty i twórczy stosunek do pracy, do poszczególnych lekcji, do przedmiotu?”

Kol. Paweł Leleń, nauczyciel Liceum Ogólnokształcącego w Niemodlinie, nadesłał nam próby racjonalnego rozwiązywania kłopotów konspektowych: „Uważam, że nie można się zgodzić ze szlochającymi „pierwszymi skrzypcami”, które narzekają na planowanie i chciałyby w ogóle znieść „biurokrację nauczycielską”, nie można też pisać się bez zastrzeżeń na pomrukiwanie „groźnego kontrabasa”, któremu przydzieliliby rolę raczej bebnisty, walącego z całej siły w beben, aby bezwzględnie i bez dyskusji wykonać zarządzania władz szkolnych. Najlepiej podobał mi się głos „rozdanej aliotki”. Musimy więc skomponować wspólnie nowy utwór i zagrać go „na swojską nutę”, a wtedy nie tylko „kwintety”, czy „sekskety” będą grały harmonijnie, lecz cała wielka nauczycielska orkiestra symfoniczna”.

Kol. Z. C. z województwa gdańskiego, wypowiada się przeciw rygorystycznemu traktowaniu sprawy pisanie konspektów, oświadcza:

„Ja osobiście pisałam się na to, aby rozszerzyć pod tym względem kompetencje dyrektorów i kierowników szkół, którzy w wypadku, kiedy stwierdzą np., że nauczyciel nie przygotowuje się do lekcji lub czyni to źle, mogliby polecić stałe lub okresowe przygotowanie się do lekcji w formie szczegółowego konspektu; w innych wypadkach forma konspektu powin-

na być dowolna i zależna od nauczyciela i jego potrzeb. Ponadto uważam, że w klasach łączonych nawet nauczyciel z małym stażem pracy zawodowej nie powinien być bezwzględnie obowiązany pisać tych 10 czy 12 konspektów codziennie. Kierownik szkoły powinien mieć prawo zdecydować, że np. tylko z niektórych przedmiotów należy pisać konspekty, zaś do pozostałych nauczyciel winien się przygotować dobrze, ale bez obowiązku pisanie konspektów. Wydało mi się to słuszne i z pewnością czas zyskany w ten sposób potrafimy dobrze spożytkować na lekturę i inne formy doskonalenia się w zawodzie”.

W ten sposób staje się jasnym, że nauczyciel do lekcji musi być przygotowany, co nie oznacza, że musi napisać konspekt według ustalonego schematu. Wydało się rzeczą nie budzącą żadnych wątpliwości, że do zepchnięcia konspektów i planowania szkolnego na pozycję formalnych i urzędowych czynności przyczynili się niektórzy kierownicy i dyrektorzy szkół, przedstawiciele powiatowych i wojewódzkich wydziałów oświaty oraz instruktorzy ODKO.

„Bo cóż oznacza — pisze kol. St. B. z Lubawy — taka kontrola konspektów, jak sprawdzanie dat (czy w kolejności nie brakuje przypadkiem jakiegoś konspektu), skontrolowanie czy w każdym podano cele, poznawczy i wychowawczy, czy wreszcie wpisano pomoce naukowe, których zamierza się użyć na lekcji... Aby to wszystko zobaczyć, kierownik, dyrektor, kierownik wydziału oświaty, wydział czy instruktor PODOKO wzywa delikwenta przed swoje oblice do kancelarii. Delikwent dostarcza plik zeszytów, a wywołują (obojętne „z jakiego szezebla”) przeglądają plony konspektowe. A jakie są te konspekty, jaka jest ich wartość, co dają nauczycielowi w trakcie realizacji na lekcji?”

Inny czytelnik — kol. C. W. z Białostocka — stwierdza, że zna nawet taki wypadek, że nauczyciel nie wymienił w konspekcie pomocy naukowych, gdyż akurat potrzebnych do tej lekcji w szkole nie było... Otrzymał wówczas cierpkim tonem wypowiedzianą uwagę wzytującego, że „nawet w tym wypadku powinien był wymienić, jakich pomocy by użył, gdyby je miał...” Wzytujący mechanicznie kartkując zeszyty jak urzędnik pocztowy marki lub inkasent elektroniczny kwity na opłatę za zużycie energii elektrycznej i niemal nie zdarda się, aby udzielił jakiegś rzeczowej, merytorycznej uwagi. Dla niego ważne jest czy „odnośny” nauczyciel pisze konspekty, czy według dat i planu lekcji niczego nie brakuje...”

„Czy na to tylko mamy tracić cenne godziny czasu i zapisywać stopy zeszytów konspektami?” — pytała nas czytelniczka i korespondent.

Nie bez słuszności pisze o tym kol. Kazimierz Siastelski, instruktor WODKO z Poznania, w swoim liście i konkluduje: „wydaje mi się, że dyszanone w „Kwintecie o konspektach i planowaniu” wynika nie tyle z niewłaściwego dyrygowania

nia przez głównego dyrygenta (czytaj: Ministerstwo Oświaty), ile z braku przygotowania nas do gry na różnych instrumentach i przeciągania strun przez dyrygentów terenowych”.

Jak dalece konspekty w dotychczasowej formie i w dotychczasowy sposób egzekwowane od nauczycieli stały się częścią formalistyczną, „urzędowymi kawałkami”, które z niechęcią lub z lekceważeniem „odwala się”, świadczą głosy tych kolegów, którzy nie widząc innego wyjścia z tej — jak mówią — „konspektomanii”, szukają różnych „remediów” na gnębiące ich kłopoty konspektowe i sugerują Ministerstwu Oświaty przyjęcie „w sukurs” nauczycielstwu... Na przykład kol. Mieczysław Grodzki z Wasilkowa proponuje, aby Ministerstwo Oświaty opracowało lub poleciło opracować „wzorcowe plany i konspekty”, które po terenowej adaptacji mogłyby być... „wkłone do dzienników lekcyjnych”, a kol. Eugeniusz Dłubakowa z Siewierskiej Góry oświadcza wręcz: „gdybym była Ministerstwem Oświaty i wszystkimi „odnośnymi” czynnikami”, wydałabym okólnik: stwórzcie komisję złożoną z doświadczonego, sercem i umysłem oddanych uczniom nauczycieli, którzy by opracowali plany, konspekty... bo przecież wszyscy uczymy jednakowo, zaczynając od Ali i Asa...”

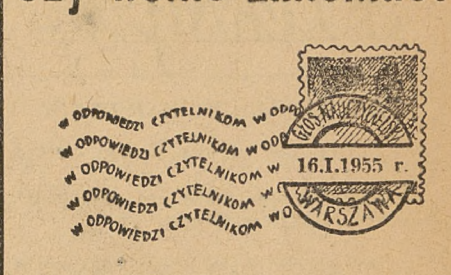
Nie, koleżdy, nie będziemy doradzać Ministerstwu Oświaty, aby skorzystało z tych propozycji...

Wydało nam się, że sprawa jest jasna. Dziesiątki listów kolegów z różnych szkół wypowiedzi dziesiątków nauczycieli szkół podstawowych i średnich brzmią jednogłośnie: konieczna jest planowa praca w szkole, konieczne jest zwiększenie wysiłków, aby podnieść wyniki nauczania i wychowania, ale trzeba odrzucić to, co w życiu okazało się niesłuszne, co zamiast pomocy dało w rezultacie powodów pisaniny, co w życie szkoły wprowadziło sztywność, biurokratyczne odrabianie „nakazów i poleceń władz”, co w znacznym stopniu oderwało nauczyciela od książki, od czasopisma, co — jak pisze kol. Marian Wnuk z Krakowa — doprowadziło do tego, że nauczyciel musiał wyjść z teatru przed końcem przedstawienia, bo przypomniał sobie, że na jutro nie ma jeszcze wszystkich konspektów, choć lekcje już odbyły i przygotował...

I my jesteśmy zdania, podobnie jak kol. kol. Aleksandrowicz z Inowrocławia, Jan Graczyk z Kownie, pow. koński, kol. Zawojski z Wierchli, pow. wielunski i wielu, wielu innych, że Ministerstwo Oświaty wsłucha się uważnie i troskliwe w ten gromki „vox populi” i przestanie odpowiedzieć kroki, aby szkoły, aby nauczyciele „odbiurokratyzować” co w rezultacie odbierze nauczycielom charakter urzędników od „urzędowych kawałków”, a przywróci im charakter pracowników twórczych, prawdziwych nauczycieli i wychowawców...

FR. STROJOWSKI

Czy wolno zmieniać?



Otrzymałmisi następujący list od kol. B. S. z Rzeszowa:

„Pracuję w zawodzie nauczycielskim trzeci rok, a w obecnej mojej szkole rok pierwszy. Mam przykre doświadczenia z poprzedniej szkoły, jeżeli chodzi o klasyfikację. Kiedy wystawiłem więcej ocen niedostatecznych w klasie, kierownik szkoły zaraz ustosunkował się do tego nieprzychylnie i wymagał, żebym zmienił te lub inną ocenę na dostateczną. Z początku ustępowałem, bo nie byłem pewny, czy dobrze znam uczniów i czy dobrze ich oceniam. Potem próbowałem obstawać przy swoich ocenach, bo już nabrałem pewności. Ale wtedy kierownik szkoły poddał pod głosowanie rady pedagogicznej niektóre oceny i koleżdy mnie przegłosowali. Uczniom wystawiono oceny dostateczne (jeden z nich był synem przewodniczącego Prez. GRN, a drugi — bardzo aktywny w Komitecie Rodzicielskim matki). Odtąd wstydziliem się wejść do klasy, unikałem pytania i oceniania tych uczniów, a oni zupełnie przestali się uczyć. Rodzice ich urabiali mi w dodatku opinię reakcyjną i nieuką.”

Wobec tego, że zbliża się półrocze, a ja znowu muszę wystąpić przed oceną niedostatecznych leniuchów, między którymi są również — niestety — dzieci różnych „ważnych osobistości” — proszę poradzić mi, jak mam postępować, jeśli i tu w owej szkole powstaje podobna sytuacja, jak w poprzedniej”.

ODPOWIADAMY:

Wasze wątpliwości rozstrzyga zarządzenie Ministra Oświaty z 3.II.1953 r. i regulamin klasyfikowania (Dz. Urzędowy Min. Ośw. nr 2 z 1954 r.). Ocenę wg tego regulaminu (§ 6 i 7) „ustala nauczyciel przedmiotu... zgodnie z zasadami pedagogiki i swoim sumieniem”. Ocenę te „nie mogą być zmienione przez kierownika szkoły ani przez radę pedagogiczną”. W wyjątkowych wypadkach, gdy istnieje wątpliwość co do słuszności oceny ustalonej przez nauczyciela, kierownik szkoły lub rada pedagogiczna może podjąć decyzję komisyjnego sprawdzenia wiadomości ucznia, ale nawet i w tym wypadku pyta go nauczyciel uczący przedmiotu, a koleżdy z komisji tylko przy tym asystują. Ocenę ustalają wspólnie, a w razie różnicy zdań decyduje kierownik.

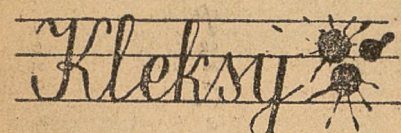
Mogliśmyby poprzestać na tym krótkim wyjaśnieniu pół-urzędowym, wiemy jednak z doświadczenia, że zarządzenie Ministra nie przekreśla za jednym zamachem zakorzenionej, złej praktyki w terenie. Wiemy także, że są i tacy kierownicy szkół, którzy potrafią różnymi środkami skłonić nauczyciela, a nawet radę pedagogiczną, do uległości, do „dobrowolnych ustępstw”, a więc i do zmiany ocen. Padają wówczas argumenty: „dla dobra szkoły”, „władze ocenią to umiennie”, wreszcie „to wam może zaszkodzić” — i inne temu podobne. Występowaliśmy przeciw tym praktykom niejednokrotnie na łamach naszego pisma.

Pytacie, jak macie postępować, jeśli coś podobnego miało Was jeszcze spotkać. Nie ustępować przed naciskiem — to jasne. Nie brać pod uwagę żadnych argumentów ubocznych (względnie na rodziców, życzenia władz, obawy przed złą opinią itp.). Wydaje nam się jednak, że choćbyście byli najlepszymi słuszności swych ocen wynikających z systematycznej obserwacji i kontroli pracy ucznia, trzeba poważnie wziąć pod uwagę wszystko to, co mówi o nim kierownik i inni koleżdy nauczyciele. (Przeczytałoby też odpowiedź czytelnikowi z Nr 22 Głosu Nauczycielskiego, rok 1954).

Zdarza się przecież tak, że człowiek może czegoś nie zauważyć, o czymś nie wiedzieć, może pomylić się. Na przykład może dopiero od kolegów dowiedzieć się — uczucie przecież w tej szkole pierwszy rok — że jakiś uczeń jest wyjątkowo nieśmiały lub że ma w rodzinie jakąś wyjątkowo trudną sytuację, która wpływa na to, że jest on skryty, milczący, nieufny w stosunku do nauczycieli, niechętny do odpowiadania. Być może, mechanicznie stosując do niego te same kryteria oceny, co i do innych uczniów, popełniłicie właśnie błąd, może nie mieliście dość cierpliwości, by wyciągnąć od ucznia wszystkie te wiadomości, które posiada, a którymi niechętnie się dzieli.

Zdarza się również, że wszyscy nauczyciele, uczący w klasie, jednomyślnie oceniają ucznia (zwłaszcza trudnego, dokuczliwego), a właśnie nowemu nauczycielowi udało się zaobserwować w tym uczniu jakieś nieznanie innym wartości. Trzeba się swymi spostrzeżeniami podzielić, wskazać kolegom na te właściwości dziecka, od których można by — rozwijając je i pielęgnując — zacząć „odrodzenie” ucznia.

Tak więc wymiana zdań o uczniu jest słuszną, pozytywną i może w pewnym stopniu wpłynąć na oceny wystawiane przez nauczyciela, gdyż wyraża ona jakieś nieznanie okoliczności lub wskazuje na niedostrzeżenie właściwości ucznia. Tej wymiany zdań, a nawet zażartej dyskusji o uczniu, nie można identyfikować z naciskiem, tym bardziej, że oceny w końcu wystawia jednak sam nauczyciel przedmiotu, a nie rada pedagogiczna przez głosowanie. Przeciwnie, z tej wymiany zdań trzeba wnikliwie korzystać.



PRZEWIDUJĄCY KIEROWNIK

— Co wy tam robicie, kolego kierowniku?

— Wypróżniałem szafę dla protokołów Komitetu Rodzicielskiego.

— No, znacie chyba nowy regulamin? U nas jest siedem klatek. Według regulaminu winno być rocznie: posiedzeń Komitetu Rodzicielskiego — 4 posiedzeń Prezydium Komitetu, — 10 posiedzeń Komisji (6) co kwartał, — 24 posiedzeń Rad Klasowych, 5 x 7 — 35 zebrań klasowych rodziców, — 28 zebrań ogólnoszkolnych, — 3

A z każdego zebrania i posiedzenia protokołu — to daje rocznie, kochany kolego, 104 protokoły! (§ 24).

— No to macie „tubercie zajęcia” i na pewno już nie będziecie mieli czasu na hospitowanie lekcji!

(Nadesłał kol. Wilhelm Weise ze Świdnicy, pow. Zielona Góra)

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Kol. Jan Graczyk z Kownic, pow. Konin — Otrzymałmy odpowiedź w Waszej sprawie: musiałeś najwcześniej złożyć do Zespołu Szkół w Szczepinie podanie wraz z niezbędnymi dokumentami oraz zobowiązanie wykonania wszystkich wymaganych prac z całego roku szkolnego do dnia 31 czerwca br.

Kol. uczestnik kursu tańców ludowych — prosimy o podanie imienia, nazwiska i adresu celem przesłania informacji.

Kol. B. E. z Koszyczyna — prosimy o podanie adresu celem przesłania honorarium autorskiego.

Z doświadczeń samokształcenia IDEOLOGICZNEGO

Do styczniowych zajęć o kolektywizacji (II cz.)

Dyskutując nad zagadnieniem kolektywizacji, replikę Dawydowa możemy poprzeć wierszem Majakowskiego pt. „Korespondent Wjelski” — który „Nie zrażony śmiertelnym wysiłkiem wierci góry nieprzekładki aż do spodu swoich matym olówiekiem-ogryzkiem”. Kulacy zabijają go za to w lesie toporem, a potem chichoczą — „Co, teraz na pewno nie napiszesz”. Piękny, a bardzo zwielżył wiersz Majakowskiego warto na seminarium przeczytać w całości.

„Zorany ugor” nie ukrywa błędów popełnianych przez działaczy partyjnych. Stalin w „Odpowiedzi towarzyszom kolchoznikom” wyliczył trzy główne błędy w ruchu kolchozowym: 1) pogwałcenie leninowskiej zasady dobrowolności przy zakładaniu kolchozu (pierwszy i główny błąd), 2) pogwałcenie odpowiedniego tempa kolektywizacji, 3) pogwałcenie leninowskiej zasady niedopuszczalności przekształcania niezakończonych form ruchu.

Błędy te popełniał w powiecie przede wszystkim sekretarz komorki partyjnej, Nagulnow. Rejonowy Komitet określał Nagulnowa jako „lewaka na dużą skalę”. Sekretarz komorki agitował w sposób dość uproszczony: „Nie idziesz do kolchozu? — znaczy się, że jesteś przeciwko władzy radzieckiej!” (str. 250). Zdarzało się Nagulnowowi pięści używać jako argumentu, a nawet naganać walców w stół. Pod naciskiem sekretarza, wbrew zdaniu Dawydowa, postanowiono w Łogu „uspokoić” całe bydło, nawet drobne, a także drób. — Mimo poważnych odchylen sekretarza komorki partyjnej autor traktuje go z wyraźną sympatią. Błędy Nagulnowa wynikają z jego najlepszych chęci, ze zbyt wielkiej zapalczywości, z niezrozumienia pewnych zagadnień politycznych. Natomiast z wyraźną ironią traktuje Szołchow biurokratów partyjnych zaślepionych we wszechmocny dekretu, rezolucji, rozporządzenia. Taki biurokrata nawet w liście do żony używa tonów bezwzględnej dyktando: „Lizko! Polecam ci kategorycznie natychmiast i bez sprzeciwu wydać obiad okazieliowi tej kartki!” (str. 173). Jak pamiętamy, Dawydow nie zjadł tego obiadu...

Jakież dyktando otrzymał dwudziestopięcioletni w Komitecie Rejonowym? W styczniu 1930 roku: „A więc wpisują się aż do 100% kolektywizacji. Według procentów będziemy oceniali twoją robotę. Stworzymy kolchoz gigant z osiemnastu rad wjelskich!” (str. 11). W lutym tego samego roku: „Co tam u ciebie słychać? Jaki procent kolektywizacji? Predko dojdiesz do stu? Mów predko!” (str. 169). A co było w marcu? — W marcu, w Gremiacym Łogu i nad całym Donem miały wybuchnąć powstanie przeciw władzy radzieckiej. Dlaczego nie wybuchło? Sprawili to artykuli Stalina ogłoszony w „Prawdzie” pt. „Zawrót głowy od sukcesów”. Zważmy, jak umiejętnie przedstawił Szołchow znaczenie polityczne tego artykułu (str. 240—249). Chłopi za numer „Prawdy” z artykułem Stalina płacili bez żalu 15 rubli (zamiast ceny normalnej 5 kop.). Starcy nie wahali się wpływ przepływać rzeki, aby dostarczyć „Prawdę” na chwilę przed podjęciem dramatycznej decyzji o chwytności za brzoń przez kozaków. Dla biurokratów, dla wszystkich wro-

Przez dłuższy okres czasu, rozwijający się żywiołowo, artystyczny ruch amatorski we wszystkich zakładach pracy w naszym kraju, nie budził żywszego oddźwięku wśród nauczycielstwa.

To niezrozumiałe zahamowanie i niechęć nauczycieli do tej przyjętej ogólnie formy pracy kulturalno-oświatowej wynikały ze źle pojętej powagi swego stanowiska, o czym świadczyły wypowiedzi na ten temat, jak ta np. ze nauczyciela jako poważnemu pedagogowi i wychowawcy nie wypada śpiewać i tańczyć, bo mógłby stracić autorytet i stać się pośmiewiskiem środowiska.

Jednakże z czasem pragnienie rozrywki kulturalnej przełamało te konserwatywne, niesłuszne, zaprzetywania i ruch amatorski zdobył sobie uznanie, stając się wkrótce jedną z najpopularniejszych form życia kulturalno-oświatowego wśród nauczycielstwa.

Stosunkowo szybko postępuje organizacja nauczycielskich zespołów artystycznych. Od IV Krajowego Zjazdu do chwili obecnej liczba zespołów wzrosła o 240 procent. Oczywiście, że ogólna liczba zorganizowanych dotychczas 350 zespołów w zestawieniu z ilością 340 naszych Oddziałów Powiatowych ZZNP nie jest jeszcze zadowalająca.

Ruch amatorski, który często powstaje samorzutnie, rozwija się głównie tam, gdzie Okręgi czy Oddziały ZZNP interesują się nim, odpowiednio go propagują i pomagają w organizacji i pracy zespołów.

Najwcześniej rozpoczęto organizować nauczycielskie zespoły artystyczne w Okręgu Stalingradzkim, który też posiada największe osiągnięcia w tej dziedzinie

gów władzy radzieckiej artykuł był nieszczerzym. A czym on był dla szerokiego mas chłopskich? — Te sprawy wyjaśnił niedwuznacznie jeden ze starszych kozaków białogwardyjskiego oficera: „Tak wychodzi, że ta gazetka rozdziela nas i pana!... Rozeszły się na zawsze nasze drogi!” (str. 242).

Artykuł Stalina pozwolił Partii wyrównać wypaczenia w ruchu kolchozowym.

Na ogromne znaczenie artykułu Stalina zwraca również uwagę powieść Smirnowa pt. „Synowie” (str. 139—140). Ta wartościowa książka, za mało u nas znana, zagadnienie kolektywizacji wsi rozwija na szerszym tle historycznym. Jeśli akcję „Zoranego ugoru” zgęszcza autor w ciągu kilku miesięcy roku 1930, to watek „Synów” rozpoczyna się od czasów pierwszej wojny światowej, a kończy się na rok przed wybuchem drugiej wojny światowej. Jeśli „Zorany ugor” ukazuje zagadnienie kolektywizacji przede wszystkim od strony działaczy partyjnych, to powieść Smirnowa ten sam problem rozpatruje od strony mas chłopskich.

Dzieło Smirnowa pod niejednym względem przypomina powieść Gorkiego „Matka”, choć jest późniejsze od niej o parę dziesiątków lat. Gorki przedstawił przemiany w psychice matki-robotnicy przed Rewolucją Październikową, Smirnow ukazał przemiany w świadomości matki-chłopki po zwycięstwie październikowym.

Bohaterka „Synów” jest Anna Stukowa, matriarchalna chłopka na wsi nadwołżańskiej. Maż jej zginął bez wieści zaciągawszy się w własnej, nieprzymuszonej woli do Czerwonej Armii. Historyczne znaczenie przełomu na wsi radzieckiej należy ukazać na przykładzie Anny i jej synów, w przemianach warunków ich życia, ich świadomości.

Już samo zestawienie początku i końca powieści pozwala ogarnąć głębokość tego przełomu. Na początku widzimy niedarkę, która „mleka kosztowała jeno na Boże Narodzenie i na Wielkanoc”, a harówkę u kulaka uważała za wielką łaskę. Jedynym światłem w chałupie Stukowej było luzyczo. Jedynym doradcą — pop. Jedynym bogactwem dwaj synowie — bliźnięta, których powiła na ścieżce koło domu. Miarę tej nędzy daje wypowiedź litując się sasiadki: „Masz pecha, Anno! Są szczęśliwcy, którym jedynę dziecko umiera — ty zaś urodziłaś dwoje i żyją!” (str. 44).

„Do kolchozu wnosiła Anna tylko swą nędzę i spracowane, chętnie do roboty rece!” (str. 114). Na końcu książki tęgną Annę jako przodowniczkę zmierzającej, opartej na naukowych podstawach pracy. Anna ma nowy, obszerny dom, wygodne sprzęty, radio, troskliwą opiekę lekarską. Anna chodzi do świetlicy, jeździ do Moskwy, rozmawia ze Stalinem, dostaje order. Przed jej synami ścieżka jest piękna przyszłość.

Na stronie 285 maluje autor piękną wizję: „Ludzie o sercach czystych budują olbrzymi dom — kolchoz o wielkich, jasnych oknach na szeroki świat”. W domu tym panuje „zadowolenie i radość”. W domu tym mieszka „tytaniczna moc”.

WITOLD BEREZIECKI

Prawnik związkowy radzi

OB. PIERZCHAŁSKA HELENA, PODLESIE ŚL. — W wysł art. 12 ustawy z dnia 26 lutego 1951 r. o podatku tera-nym (Dz. U. RP Nr 14 poz. 110) do uiszczenia podatku od lokali obowiązują są wszystkie osoby fizyczne i prawne zajmujące lokale w charakterze niemierców, chociażby za-mo-wywały te lokale jako mieszka-nia służbowe lub nawet bez-płatnie wsi w własnych budyn-kach. Zatem nauczyciel za-ju-mający mieszkanie nie wynaj-ma i odpłatnie przez Prez. CRN obowiązany jest do uiszc-zenia podatku od lokali w w-wskazanej wysokości. Jeśli wysokość tego nie przekracza 10 zł lub w wysokości 10 proc. czynszu, jeśli jest on wyższy od 10 zł.

OB. KOZON STEFANIA, STA-ROGARD — W moim przepisie uchwały Nr 270 Prezydium Rządu z dnia 8 maja 1954 r. w sprawie pomocy Państwa dla indywidualnego budownic-

stwa mieszkaniowego (Monitor Polski A — 59, poz. 793) wnio-sek o przyznanie kredytu na budowę domu jednorodzinnego należy zgłosić na piśmie do Komisji Kwalifikacyjnej przy Prezydium Wojewódzkiej Ra-dy Narodowej. Do wniosku ku-żądane byłoby dołączenie opi-nii organu Zw. Zaw. Komisja po rozpatrzeniu wniosku i za-sięgnięciu opinii Prez. PRN wyda orzeczenie co do przy-znania kredytu lub nieuwzględ-nienia wniosku.

OB. KORYTOWSKA BARBARA, KRUSZYN K. WŁOCŁAW-KA — W moim obowiązkuach przepisów kobieta pracująca w okresie urlopu macierzyń-skiego zachowuje prawo do wynagrodzenia pobieranego ostatnio przed urlopem ma-cierzyńskim, przy czym ele-menty zmienne wynagrodze-nia, jak np. premia zależna od wykonania określonych norm, obliczają się na podsta-wie przeciętnej z ostatnich

i największą ilość zespołów (31). Również Okręg Poznański interesuje się żywo ru-chem amatorskim i liczy już 25 zespołów. Okręg Bydgoski ma ich 21, a Kielecki — 18. W porównaniu do tych okręgów bar-dzo małe osiągnięcia w rozwoju ruchu amatorskiego mają Okręgi Warszawski i Krakowski, które liczą tylko po 6 ze-społów.

Praca w zespołach artystycznych daje nauczycielowi możliwość kulturalnego wy-zyscia się i rozrywki. Świadczą o tym lic-ne wypowiedzi członków zespołów na ten temat. Np. kol. Kustanowicz z Elku stwierdza, że życie nauczyciela byłoby bar-dzo ubogie i szare, gdyby nie organizo-wali dla siebie rozrywki kulturalnej. For-mami artystycznymi uatrakcyjniamy nie tylko nasze zajęcia i uroczystości, ale tak-że nasze samokształcenie ideologiczne, uzyskując w ten sposób pełną frekwencję i dobre wyniki.

Zespoły chórów, teatralne, muzyczne, taneczne, recytatorskie i inne stanowią dla nauczycieli nie tylko przyjemną roz-rywkę, ale także dają im poważną pomoc w pracy zawodowej i społecznej. Zdobyte bowiem w zespołach umiejętności utwa-riają nauczycielom pracę świetliwą i na terenie szkoły, i na terenie gromady.

Praca nauczycieli w zespołach choro-nych pozwoliła wydatnie podnieść w wie-lu szkołach poziom chorów szkolnych, zaś udział ich w zespołach tanecznych dopo-mógł w upowszechnianiu tańca, co znowu przyczyniło się do ożywienia życia kul-turalnego na terenie szkoły.

REPERTUAR I WYKONANIE

Występy zespołów nauczycielskich na okazji różnych uroczystości, jak np. ze-brania sprawozdawczo-wyborczych do rad narodowych, Dni Nauczyciela itp., cieszą się coraz większym uznaniem.

W ostatnim czasie wydatnie podnosi się poziom artystyczny amatorskich zespołów nauczycielskich. Zaznacza się również co-raz bogatsza forma imprez oraz coraz lep-szy, wartościowy dobór repertuaru se-scicznego.

Członkowie zespołów pracują ambitnie i często ofiarnie, o czym świadczy szereg wyróżnień zdobytych przez zespoły na fe-stiwalach organizowanych przez CRZZ dla uczczenia 10-lecia Polski Ludowej.

W repertuarze zespołów teatralnych obok pozycji klasycznych, jak: „Ożenek”, „Revisor”, — Gogola, „Zemsta”, i „Ślubny panienski” — Fredry, pojawia się coraz częściej repertuar współczesny, który zbli-ża widza do problemów dnia dzisiej-szego.

Dużym powodzeniem cieszyły się bardzo dobrze wystawione sztuki, jak np. „Grzech” Żeromskiego — w Chełmie Lub., „Sprawa rodzinna” Lutowskiego — w Słubicach, woj. zielonogórskiej, „To mówi Tajmyr” Isajewa i Galicza i „Poe-mat Pedagogiczny” Makarenki — we Włocławku i inne.

W przeglądzie amatorskich zespołów ta-necznych ZZNP organizowanym przez Za-rząd Główny ZZNP w dniach 11 i 12

grudnia ub. roku w Warszawie takie ze-społy, jak np. Zespół Pieśni i Tańca DKN w Stalingrodzie oraz zespoły ze Szczyna, Kępna, Raciborza i Chelma Lub., odtworzyły z wysokim artystycznym folklor swego regionu.

WIĘCEJ TROSKI O ZESPOŁY

Rzeczywistość amatorskiego ruchu nauczyciel-skiego jest poważnie hamowana i utrud-niana z powodu braku należytej opieki i pomocy ze strony Związku. Nic więc dziwnego, że chociaż nauczyciele samo-rzutnie i z dużym zapałem organizowali zespoły, to rozpadły się one wkrótce. I tak np. Okręg Koszalin, który w czer-wcu ub. roku posiadał 15 zorganizowanych zespołów, obecnie posiada ich tylko 6. W Okręgach Olsztyńskim i Gdańskim rozpad-ły się ponad 75 proc. zespołów z tej samej przyczyny.

Szczególnie zniechęcają i rozgoryczają członków zespołów trudności finansowe, gdyż fundusze na działalność zespołów otrzymywane ze Związku są bardzo szczu-płe. Np. cały Okręg Warszawski na 5 zesp-ołów otrzymał w ub. roku 4864 zł. Z tej sumy wydatkował na zwrot kosztów prze-jazdów dla wyjeżdżających na próby członków zespołów — 1134 zł., na materia-ły szkoleniowe — 314 zł., resztę na skrom-ne wynagrodzenia dla instruktorów ar-tystycznych. Oczywiście, na kupno kostium-ów już nie starczyło, tak że np. zespół teatralny ZZNP w Śiedlcach zmuszony był wystawić sztukę za pożyczone pieniądze i aby je zwrócić, musiał urządzić kilka plalnych przedstawień.

Ten brak funduszy ciąży poważnie na rozwoju wielu zespołów.

Gdy się rozmawia z ludźmi na terenie, to obok słów miłych, pokrzepiających i pełnych entuzjazmu dla pracy artystycz-nej, słyszy się także bardzo często słowa cierpkie i pełne rozgoryczenia, na które niejednokrotnie brak odpowiedzi. I tak ze-społ chórów w Radomiu, pracujący w wielkim zapałem pragnie zorganizować zespół taneczny, lecz pomimo starań nie otrzymuje na kupno kostiumów potrze-bnych funduszy. Słuszna jest w tej sprawie wypowiedź kol. Wojtowiczowej i kol. Woj-tekuna, którzy twierdzą, że nauczycielskie zespoły docierające z imprezami do zapad-łych wsi i odległych od miast zakładów pracy winny być traktowane na równi z zespołami innych związków branżowych, które są zaopatrywane w odpowiednie fun-dusze. Nie można bowiem dopuścić do takich faktów, aby zespoły taneczne wyje-dzały na przegląd do Warszawy w poży-czonych kostiumach lub też członkowie zespołu zakupywali je za własne pienia-dze, jak to miało miejsce w zespole ZZNP w Garwolinie.

Na ogół wydziały oświaty nie interesu-ją się działalnością nauczycielskich zesp-ołów artystycznych, nie okazują im żadnej pomocy, z wyjątkiem Wydziału Oświaty w Hajnowce, który przydzielił tamt. ze-społowi potrzebną na zakup kostiumów gotówkę, z tym jednak zastrzeżeniem, że kostiumy te stanowią będą własność szko-ły.

Znaczną również bolączką w pracy ze-

społu jest brak właściwego kierunku ar-tystycznego, gdyż wytypowani na instruk-torów artystycznych nauczyciele nie mają odpowiedniego przeszkolenia. WRZZ orga-nizują wprawdzie dla nich specjalne semi-naria, jednakże kierownicy szkół nie chcą zwalniać nauczycieli od zajęć szkolnych na ten cel, a odwoływano się w tej spra-wie do wydziałów oświaty nie dając rezul-tatu.

Jak wiemy, na rozwój zespołów wpły-wają dodatkowo festiwale i przeglądy — one bowiem pobudzają ambicję i zachęcają do podejmowania jeszcze większych wysił-ków. Tymczasem Zarząd Główny ZZNP w okresie 10-lecia zorganizował zaledwie dwa festiwale dla nauczycielskich zesp-ołów artystycznych. Zawsze bowiem brako-wało na ten cel funduszy.

WSKAZANIA NA PRZYSZŁOŚĆ

Aby wyeliminować na przyszłość trud-ności hamujące rozwój nauczycielskiego ruchu amatorskiego, musimy otoczyć go troskliwą jak dotychczas opieką, m. in. dopilnować sprawy przeszkolenia instruk-torów artystycznych dla prowadzenia ze-społów i w tym celu starać się o części-o-we zwolnienie ich od pracy zawodowej. Również zdecydowanie musi być rozwią-zana sprawa przydzielania odpowiednich funduszy dla zespołów, o co winien usi-lnie walczyć Związek. Tylko wtedy będzie można liczyć na to, że zespoły będą pra-cowały owocnie.

PLANY NA 1955 ROK

Z uwagi na dotychczasowe szczupłe środki finansowe, w r. 1955 nie możemy sobie pozwolić na tworzenie dużych ze-społów artystycznych, lecz istniejące już będziemy podnosić pod względem ideowo-politycznym, artystycznym i licebnym, wciągając w większym niż dotychczas stopniu do tej akcji nauczycieli szkół za-wodowych. Mamy wiele do zrobienia w dziedzinie upowszechnienia recytacji wśród nauczycieli, na którą zbyt mało zwracaliśmy uwagi. I tak na 350 zespołów artystycznych mamy zaledwie 26 zespołów recytatorskich. A przecież forma ta kształ-cąca piękno i czystość mowy ojczystej stanowić może dla nauczyciela języka pol-skiego wielką pomoc. Zagadnienie upow-szechnienia recytacji jest szczególnie ak-tualne z uwagi na Rok Mickiewicza. Jesteśmy przekonani, że udział zespołów ZZNP w tegorocznych festiwalach będzie większy niż w latach poprzednich.

W myśl uchwały KC ZZPR o prac-y związków zawodowych winniśmy wzmo-cnić pracę kulturalno-oświatową, a więc i ruch amatorski w terenowych ZOZ i MOZ. Nie mamy tam wprawdzie możliwości organi-zowania większych zespołów, ale z powo-dzeniem możemy tworzyć małe zespoły wokalne, jak np. duety, tercety i kwarte-ty śpiewacze i muzyczne. Z powodzeniem możemy rozwijać w ZOZ i MOZ zespoły recytatorskie oraz teatralne, które wysta-wiając sztuki jedno lub dwuaktowe nie będą wymagały większego wkładu finan-sowego. W ten sposób, w większym niż dotychczas stopniu, zaspołomni potrzeby kulturalne nauczyciela, pracującego na wsi.

MIECZYSLAW PUTO

Nasi czytelnicy i korespondenci piszą

KIEDY ZAKOŃCZĘ INWENTARYZACJĘ?

UCZĘ na Śląsku Opolskim, gdzie warunki pracy polonisty są specjalnie trudne, młodzież nie zna w dostatecznym stopniu języka polskiego, w domu posługuje się gwara śląską, nierazko z do-mieszka zdań niemieckich. Nic dziwnego, że w wypracowa-niach znajduje się bardzo du-żo błędów językowych. Braki te można usunąć, stosując m. in. wiele prac piśmiennych, któ-re należy dokładnie popra-wiać i omawiać.

Ala jak wygląda w rzeczy-wistości sprawa poprawiania zeszytów? Niech posłużą tu następujące fakty. W związku z kampanią wyborczą było wiele pracy, odczytaliśmy więc klasówki na później, a zeszy-ty domowe sprawdzaliśmy rza-czej. Sądziłam, że po wybo-rach nadrobię te braki.

Oto jak wygląda „wyrów-nanie zaległości”: dnia 9 grudnia — posiedzenie rady pedagogicznej (13 z kolei w bieżącym roku szkolnym). Po-czątek posiedzenia o godz. 15.30, koniec o godz. 18. Du-żej nie mogło trwać, bo na godz. 18 był zapowiadane zebranie rodziców, na którym musieli być nauczyciele. Skończyło się ono o godz. 20.

Na zebraniu rady pedago-gicznej otrzymaliśmy następu-jące wytyczne: do 18 grudnia wykonać inwentaryzację ru-chomości i spisać dzieci w wieku szkolnym, a raczej przedszkolnym. Spis taki ro-biliśmy już na początku paź-dziernika 1954 r. Czy już jest on nieaktualny? (Wydział Oś-wiaty nie polecał wtedy spi-sywać dzieci z roczników 1948 — 1954). Może przynajmniej ten nowy spis będzie ważny do końca roku.

W gronie nauczycielskim panuje zamieszanie. Padają pytania: dlaczego właśnie my robimy inwentaryzację? Prze-cież w szkołach zawodowych chętnie robi to personel ad-ministracyjny, który właści-wie jest zobowiązany do tych

PRZYKŁADNA WSPÓŁPRACA

POMIĘDZY katedrą języka polskiego PWSP w Stalino-grodzie a sekcją języka pol-skiego WODKO jest w obec-nym roku akademickim ściśła współpraca. Wspólnie ułożony plan nakłada na obie strony poważne obowiązki, ale i daje obopólne korzyści.

Katedra języka polskiego zobowiązała się do następują-cych zadań:

1. Zbadać braki w gramatyce

absolwentów szkół średnich, wstępujących na polonistykę i omówić je na zebraniu nauczy-cieli szkół średnich wraz ze wskazaniami źródeł tych bra-ków i środków walki z nimi.

2. Opracowywać w ramach katedry pomoce naukowe z gramatyki języka polskiego po-trzebne do nauczania metodyki na PWSP i udostępnić je nauczycielom.

3. Wygłosić kilka odczytów

naukowych rozszerzających wiedzę polonistów w ramach materiału nauczania. Tematy zostały ustalone. Odczyty zo-staną wygłoszone na konfe-rencjach nauczycieli szkół średnich.

4. Prowadzić poradnictwo z dziedziny gramatyki zarówno w kierunku teoretycznym, jak i metodycznym. Raz w tygo-dniu pracownicy katedry będą udzielać konsultacji zwracają-cym się do nich nauczycielom oraz odpowiadać na zapytania listowe.

Sekcja języka polskiego WODKO podjęła się następu-jących zadań:

1. Zainteresować się pracą

Janina Złabowa

PWSP, Stalingród

SUWAK TABLICOWY

W naszej szkole (Technikum Przemysłu Elektrycznego w Warszawie — Włochy) duży tablicowy suwak logarytmicz-ny. Uważamy, że każdy absol-went szkoły zawodowej winien umieć posługiwać się takim suwakiem, ponieważ przyczyni się do wielkiej pomocy w o-panowaniu zasad liczenia.

Chcę zainteresować inne szkoły zawodowe tą pomocą

K. J.

ZWYCIĘZCY KONKURSU ODCZYTÓW PEDAGOGICZNYCH

Z INICJATYWY WODKO odbył się w Krakowie w dniu 19 grudnia ub. r. II Wo-jewódzki Zjazd Autorów Odczytów Pedagogicznych połą-czony z konkursem na naj-lepszy odczyt.

W wyniku konkursu druga nagrodę w wysokości 1000 zo-tych uzyskali: Teresa Bromo-wicz, nauczycielka Lit. Ogólno-kształcącego w Domu Odrod-wieńców w Kuźnicach, Mie-czysław Grohman, nauczyciel Szkoły Podstawowej we wsi Jastrząbka Nowa, p. Tarnów oraz Irena Kocof, wychowaw-czyni przedszkola z Węgier-skiej Górki, pow. Żywiec.

Trzecią nagrodę w wysokości 750 zł przyznano kol. Marii Kosińskiej, nauczycielce Szko-ły Podstawowej z Międzybr-dzia Bialskiego, pow. Żywiec oraz Zofii Plucie, nauczycielce Szkoły Podstawowej ze wsi Żukowice Nowe, pow. Tarnów. Ponadto 9 osób spośród nauczycieli, wychowawców i ro-dziców uzyskało wyróżnienie pieniężne w wysokości 300 zo-tych, a wszyscy autorzy — cenne książki zakupione przez Zarząd Okręgu ZZNP w Kra-kowie.

Duże zainteresowanie wzbudziła wśród uczestników Zjaz-

absolwentów filologii polskiej PWSP w terenie i opracować spostrzeżenia z ich pracy.

2. Otoczyć opieką studentów filologii polskiej PWSP w cza-sie ich praktyki ciałej.

3. Zapraszać studentów na lekcje przykładowe w terenie.

4. Udostępnić studentom ko-rzystanie z pracowni poloni-stycznej WODKO.

Jeżeli plan ten zostanie w pełni zrealizowany, wymiana doświadczeń istotnie dopowa-rdzi do ulepszenia metod pracy i podniesienia wyników na od-cinku gramatyki języka pol-skiego.

Janina Złabowa

PWSP, Stalingród

WYKONANIE

naukową nasz Komitet Rodzi-cielski przygotował skalę do suwaków o długości 1,5 m wraz z opisem sposobu wyko-nania suwaka. Zainteresowani mogliby za zwrotem kosztów własnych, 30 zł, otrzymać ska-lę wraz z opisem. Komitet Ro-dzicielski wysłał skalę za po-braniem pocztowym.

K. J.

du odczytana w całości praca kol. M. Grohmana pt.: „Ogród-ek geograficzny w nauczaniu geografii” oraz fragmenty odczytu kol. T. Bromowicz n. t.: „Praca organizacji młodzieżo-wych w Domu Odrodzeńców w Kuźnicach” i kol. I. Koco-niowej n. t.: „Kształtowanie u dzieci w przedszkolu właści-wych pojęć o otaczającej przy-rodzie”.

Autor wyróżnionego odczytu a zarazem jedyny uczestnik konkursu spośród członków komitetu rodzicielskiego, ob. M. Magdof z Tarnowa, skiero-wał do wszystkich rodziców a-pel o jak najżywszy udział w odczytach pedagogicznych.

Wielu spośród uczestników Zjazdu zgłosiło nowe tematy do opracowania. Tą drogą WODKO-Kraków uzyskał po-nad 60 zgłoszeń odczytów na r. szk. 54/55. — Najliczniejszą reprezentację autorów na sali obrad miał powiat tarnowski, gdzie kierownik PODKO, ob. Józef Tymkiewicz, potrafił po-zyścić dla akcji odczytów pe-dagogicznych szeroki aktyw doświadczonej nauczycieli i wychowawców z powiatu.

Janina Filipiek

WODKO, Kraków

List o mleku

S PRAWA, która chce poruszyć, na-leży raczej do rzędu drobnych, a nawet na pozór błałych.

Miejscowość Płotno w powiecie Py-ryczce — to PGR. Znajduje się tu szko-ła 7 klasowa o 3 nauczycielach. Wśród tej trójki wyróżnia się kol. Jadwiga Soćko, nauczycielka o nie byle jakich, zdaniem tamtejszego PGR, wymaga-niach... Chce pięć codziennie mleka. Niestety, miejscowe PGR odmówiło sprzedaży mleka — wiadomo — mleko jest tylko dla pracowników PGR. Kol. Soćko znalazłszy się w takiej sytuacji rzekła sobie wzorem Hamleta — być albo nie być — co daje się przełuma-czyć w tym wypadku tak: być albo nie być. Oczywiście być — wska-zują na to plakaty w GS, a nawet mono-poli zapalających zaleca pięć mleka i to świeżo przegotowane. Znalazła więc kol. Soćko pracowników PGR, od której zaczęła brać mleko. Ale „czujne” władze PGR zabroniły swojej pracownicy sprzedawać mleko nauczycielce, uważa-jąc, że mleko idzie na tzw. „wolny ry-nek”.

Od czasu, kiedy kol. Soćko opowia-dała mi tę przykrą historię, upłynęło kilka ładnych miesięcy. Niedawno do-wiedziałam się, że kol. Soćko — o zgro-zo — znowu... płje mleko. Tym razem już nie z własnej „prywatnej inicjaty-wy”, ale na zlecenie lekarza. Skąd i w jaki sposób dostała mleko, nie próbowa-łem się dowiedzieć. Na samą jednak myśl, że PGR ponownie może wykryć tę aferę mleczną — ogarnia mnie nie-pokój.

Wypadek ten nie jest osobobny. „Nie dają nam mleka” — skarżyła się jeszcze we wrześniu 1953 r. Eugenia Zaręba, nauczycielka Szkoły Podst. w Stoinicy, pow. Pyryczce, gdzie również znajduje się PGR i Stacja Selekcji Ro-slin. Gospodarz tam pracował ludzie, dyrektor jest dobry, uczciwy — tro-szczy się bardzo o swych pracowników. Ale co, mleka nie można sprzedawać nauczycielom, takie są rozporządzenia ogórne. Oddział Powiatowy ZZNP na-pisał więc w tej sprawie do Centr. Zarządu Stacji Selekcji Roślin w War-szawie. Owszem, odpisał, poradził: „wasi pracownicy nie mogą...” itd. A tymczasem kol. Zar